Kurjer literacko naukowy

ROK IV. | WYCHODZI W NIEDZIELĘ JAKO BEZPŁATNY DODATEK | NR. 48

IAN KUDELKA

Kazimierz Wierzyński

(Sylwetka poety)

Wierzyński uchodził jeszcze do niedawna za piewcę beztroskiej radości życia i w wyobraźni wielu czytelników dotąd takim pozostał. Dopiero w ostatnich czasach, zwłaszcza po ukazaniu się *„Pieśni fanatycznych"* i *„Rozmowy z puszczą"*, sądy krytyki zaczynają się zmieniać. Okazało się, że w tym żywiołowym „ekstatyku użycia" jest coś więcej, że jest to organizacja bardziej złożona, niżby się na oko zdawało, że prócz wesołości zdolny jest także do uczuć bardziej skomplikowanych, że w tej tak napozór jednolitej postaci kryją się złoża ciekawych i olśniewających możliwości.

Urodził się Wierzyński w roku 1894, jako syn urzędnika kolejowego w Drohobyczu. Gimnazjum ukończył w Stryju, uniwersytet w Krakowie i Wiedniu. Studjował filozofję ścisłą i polonistykę. W roku 1914 po wybuchu wojny światowej wstąpił do tzw. Legjonu Wschodniego jako członek drużyny drohobyckiej. Po rozwiązaniu legjonu został wzięty do wojska austrjackiego i w marcu 1915 roku poszedł na front jako oficer dawnego 77 p.p. austrjackiej. W lipcu 1915 dostał się do niewoli rosyjskiej. Przebył w niej trzy lata w Rjazaniu. W roku 1918 uciekł z niewoli, pół roku ukrywał się w Kijowie, stamtąd jesienią przybył do Warszawy. Wtedy też datuje się początek jego działalności literackiej. Występował w tzw. *Kawiarni pod Pikadorem*, należał do grupy założycieli czasopisma *Skamander*[1]. Pierwszą książkę *Wiosna i wino*, wydał w roku 1919. Następne: *Wróble na dachu* w roku 1920, *Wielka Niedźwieiedzica* w roku 1923, *Pamiętnik miłości* w roku 1925, *Laur olimpijski* w roku 1927, *Rozmowa z puszczą* w roku 1929, *Pieśni fanatyczne* w roku 1929. W roku 1933 ogłosił tom nowel *Granice świata*. Tuż przed wydaniem *Rozmowy z puszczą*, w roku 1929 wyszły *Utwory zebrane*, zawierające cały dorobek poety do *Lauru olimpijskiego* włącznie. Ostatnio w roku 1933 wydał tom wierszy *Gorżki urodzaj*. Podróżował sporo po Europie, dłuższy czas był w Szwajcarji, w roku 1929 odbył półroczną podróż po Ameryce, ostatnio bawił w Hiszpanji.

PIERWSZE UTWORY

Pierwszy tomik poety *Wiosna i wino* zdobył przebojem publiczność i doczekał się rychło kilku wydań. Okazuje w nim Wierzyński nieposkromioną żywiołową żądzę życia, buńczuczny zapał młodzieńczy. To, co u Tuwima było tylko króciutkim fragmentem twórczości, u Wierzyńskiego przetrwało dłużej, bo jeszcze niektóre wiersze „Wielkiej Niedźwiedzicy", a nawet „Pamiętnika miłości" potrącają o nastrój tych młodzieńczych natchnień. W „Wiośnie i winie" przedmiotem zainteresowania poety jest głównie *własna* jego *osobowość*, własna twórczość. Mimochodem tylko potrąca poeta o twórczość innych. Nie jest to jednakowoż — jakby się zdawało — jakaś poza, jakaś zarozumiałość, przeciwnie: niema w Wierzyńskim ani cienia pychy, wszak później nazwie się sam „poetą z małym talentem". Jeśli o jakiejś ambicji można mówić, to chyba o *seksualnej*: „bo jestem mówcie, co chcecie, przystojny..." Poprostu rozpiera go nadmiar siły życiowej, sam sobie wydaje się jakiemś dziwnem, niepojętem zjawiskiem, jakimś „trafem i niespodzianką". Są te pierwsze utwory natury nawskróś lirycznej, *bezpostaciowej*, co wyraża się choćby w tem, że swoim nastrojom nie potrafi poeta dać nazwy, a wiersze tytułuje od początkowych słów. Postawę swoją wobec świata określa najlepiej sam:

> ...serce nasze: pryzmat fotografa,
> Gdzie światło pada pod kątem *zachwytu.*

Ten zachwyt i nastrój radosny dominuje w całym utworze. *Smutek*, a raczej *smuteczek* zjawia się tu tylko chwilowo, a wywołuje go jesień, owa pora spadających liści i umierającego życia. Głównym motywem zbiorku jest motyw *wędrówki*, organicznie związany z ekspanzywną naturą poety.

We *Wróblach na dachu* czuć już świadome realizowanie programu, a raczej bezprogramowości *Skamandra*. Następuje tu pewne przesunięcie w kierunku *objektywizmu*. Zainteresowanie poety przenosi się coraz, wyraźniej na świat otaczający. Zapragnął poeta oddać już nietylko krajobraz, ale także indywidualność innych ludzi — budzi się w nim talent do *postaciowania*. Takie wiersze, jak „Ballada", „Kolenda dziecinna", „Chrystus i dziewczynka", świetnie wyczuwające psychologję dziecka, to prawdziwe arcydziełka, szczere we wzruszeniu, plastyczne w wyrazie. Owe nienazwane, subjektywne nastroje z „Wiosny i wina" coraz bardziej oblekają się w kształt artystyczny. *Wróble na dachu* to moment *krystalizowania się formy* Wierzyńskiego. Wkraczają do poezji jego nowe czynniki: *wspomnienia dzieciństwa i egzotyzm*. Z wspomnieniami łączy się zazwyczaj uczucie *tęsknoty*. „Kraj lat dziecinnych" poety to *prowincja galicyjska*. Jej wizja plastyczna, przecedzona przez filtr wspomnień występuje zarówno we „Wróblach na dachu", jak i w późniejszej „Wielkiej Niedźwiedzicy". Prowincja nie jest czemś przygodnem w twórczości Wieżyńskiego: jak głęboko wrosła ona w jego psychikę, świadczy „Oda prowincjonalna" w „Wielkiej Niedźwiedzicy". Motyw wędrówki z „Wiosny i wina" przekształcił się we „Wróblach na dachu" w *egzotyzm*. Pobudką był tu zapewne *futuryzm*. Potrącił on i rozkołysał w duszy poety strunę, która i dawniej drgała, lecz słabiutko. Wpływ futuryzmu (via Moskwa) widać w „Heroice" w owem haśle: „pozjo na ulice!" Ta właśnie oda do poezji zarówno formą, jak tematem społecznym zdaje się zwiastować przyszłego twórcę „Pieśni fanatycznych". W zakończeniu jej poraz pierwszy pojawia się motyw *pożaru*, tak charakterystyczny dla poezji Wierzyńskiego. Zjawia się on zwłaszcza w utworach odtwarzających jakieś przekonanie poety w momentach silnie uczuciowych i często łączy się z motywem *przepowiedni*, jak właśnie w Heroice". Innym charakterystycznym motywem poezji Wierzyńskiego jest motyw *muzyki*, występujący często w utworach miłosnych oraz motyw *wiatru* przewijający się przez całą twórczość.

PRZEŁOM

W *Wielkiej Niedźwiedzicy* zwrot do objektywizmu idzie jeszcze dalej — poeta w plastyczny sposób przedstawia *pejzaż*, łącząc opis zazwyczaj z momentem uczuciowym. Pod tym względem jego listy z podróży mają w sobie coś z „Sonetów krymskich" Mickiewicza, tembardziej, że poeta nieraz świadomie je na ten ton stylizuje. Okazuje się tu wybitny talent epicki, może najciekawszy wśród współczesnych. Lecz nie znika subjektywizm w tym zbiorku, owszem zdobywa nawet nowy element: *metafizyczność*, łącznie z pogłębieniem uczucia religijnego, zaznaczonego już we „Wiośnie i winie" oraz „Wróblach na dachu". Postawa poety wobec świata zmienia się coraz gwałtowniej. *Zachwyt* ustępuje miejsca *zadumie*. *Wielka Niedźwiedzica* to *punkt przełomowy* poezji Wierzyńskiego, w której odtąd przeważać będą nastroje minorowe. Teraz dopiero wydał poeta swoje liryki z okresu *wojny światowej i niewoli rosyjskiej*, nasiąkłe smutkiem, zmęczeniem długich marszów, beznadziejną nudą koszar, a przepojone duchem *humanitaryzmu*. Z pól bitewnych wyniósł poeta pragnienie jakiejś przemiany świata, pragnienie miłości, która „człeka z człekiem pojedna", co nie przeszkadza mu tęsknić za czasem bohaterskim Napoleona, za wielką epopeją Batorego i marzyć, że czasy te ziści — Piłsudski. Ta *tęsknota do wielkości*, do bohaterstwa, do heroizmu, nie bez pewnego piętna tragicznego, to bardzo silnie dźwięcząca nuta zbiorku. I te właśnie momenty wyrażają się motywem *pożaru*, opartym na wierze w oczyszczającą moc ognia.

Pamiętnik miłości nie przynosi nagół nowych zdobyczy. Operuje tu poeta po mistrzowsku dowolną formą. W utworze tym do szczytu dochodzi *wirtuozostwo* Wierzyńskiego. Tematem jest miłość, ale uczucie to, przewijające się i w poprzednich tomikach, zostało wzbogacone nowemi czynnikami: miłość, będąca początkowo młodzieńczym *flirtem*, nastrojem, potem *egzotyczną namiętnością*, tu staje się *„zakonem wolującym"*, terenem żałosnych i radosnych doświadczeń, rozszerza się o *tragizm*. Ze względu na wyraz artystyczny na szczególną uwagę zasługuje utwór pt. „Księżyc zakochanych", w którym poeta w przedziwny sposób odtwarza grę barw i świateł wieczornego nieba. Świadczy to wymownie o zdolnościach *malarskich* Wierzyńskiego.

Wyrazem afirmacji życia jest *Laur olimpijski*. W sporcie znalazł poeta pole dla swojego temperamentu, którego najistotniejszą bodaj cechą jest *ekspanzywność i żądza bohaterstwa*. Wszak treścią najistotniejszą „Lauru" jest pasja *pokonywania przestrzeni* i zdobywania *rekordu:*

> Burza kroków mych teraz zniszczy cię, rozgniecie,
> Miljonem razów zgnębi, nim dojdziesz do stu, —
> Przestrzeni nienawistna! — rozpięta na mecie
> Białem pasmem, co krzyczy, że to jest już tu!
> Boska to rzecz być pierwszym, — i bawić się takim żartem.

Laur olimpijski urasta do rozmiarów wizji zmagania się człowieka z

---

[1]) *Dane biograficzne zawdzięczam uprzejmości poety, który nadesłał je dla mającej ukazać się w Drohobyczu jednodniówki akademickiej.*

przestrzenią i czasem, do jakiegoś metafizycznego symbolu ludzkiej tęsknoty za ideałem. „Pieśń o Amundsenie" to wspaniała, prawdziwie nowoczesna improwizacja. Bije z niej patos monologu Kordjana na Mont - Blanc, owa postawa „posągu człowieka na posągu świata". Brany ze względu na formę, *„Laur olimpijski"* jest może najdoskonalszą manifestacją zdolności epickich Wierzyńskiego.

POETA I ŚWIAT

Odbiciem *nowego przełomu* w twórczości poety, jest *Rozmowa z puszczą*. Świadczy o tem fakt, że poeta wraca myślą wstecz ku swojej dawnej twórczości, usiłując dać jej syntezę. Stąd takie wiersze, jak: „O wierszach poprzednich i przyszłych", „Kawiarnia pod Pikadorem" itp. Poeta chce się niejako odgraniczyć od tego, co dotychczas stworzył, by tem łatwiej przejść do motywów nowych. Postawa *zachwytu* wobec świata, która ustąpiła później *zadumie*, w ostatniej fazie twórczości Wierzyńskiego przechodzi niekiedy w *nienawiść* do świata. Poeta stwierdza, że zna także żar nienawiści, że nie tylko chce świat zawrzeć w swej poezji, ale, że pragnie także wycisnąć na nim piętno swej woli. Występują w „Rozmowie z puszczą" wątki dawnej twórczości, listy z podróży, nawet nastroje prowincjonalne.

Przejawem owego „żaru nienawiści" mają być *Pieśni fanatyczne*. Zagadnieniem tego zbiorku jest: *poeta i społeczeństwo*. W tym zwrocie do tematów społecznych wyraża się niewątpliwie wpływ współczesnego kryzysu ekonomicznego, a może także i wpływ tzw. poezji proletarjackiej. Poeta stoi wprawdzie na stanowisku, że zawsze kochać będą tylko poeci, jest zatem obrońcą niezależności poezji od doktryn społeczno - politycznych, niemniej jednak serce jego zaczyna stawać po stronie nędzy ludzkiej. W wierszach społecznych nie jest Wierzyński zbyt oryginalny. Świetny jest właściwie tylko jeden wiersz, *Pieśń szubienic*. Kończy się ten wiersz rozwiniętym w dłuższy obraz motywem *pożaru*.

W ogólności w ostatnich utworach motyw pożaru pojawia się coraz częściej i on właśnie daje im nowe zabarwienie. W *Pieśniach fanatycznych* śledzić możemy dzisiejszy kryzys urbanizmu w wierszu „Pieśń o szarości życia", a zwłaszcza „Pieśń ze środka miasta". W pierwszym z nich symbol *nietoperza*, pojawiający się już w pierwszych utworach poety, będący najczęściej wyrazem tajemnicy, rozszerza się na cały poemat i staje się symbolem beznadziejnej *nudy* i *przemijalności* życia. Drugi zaś utwór posiada ciekawą skądinąd formę *litanji*.

Naogół biorąc, oba te tomiki są jakoś dziwnie niezharmonizowane. Obok motywów twórczości dawniejszej, trącących czasami nawet pewną manierą stylową, pojawiają się motywy nowe, obce dotychczasowej twórczości poety i nowe niespotykane dotąd wysłowienie. Przytem czasami pojawia się tu pewna niedbałość o eufonję wiersza. Kiedy poprzednia twórczość poety miała tony *miękkie*, nieraz *pieszczotliwe*, nowa jej faza charakteryzuje się tonem *twardym, chropowatym*. Słowa jego stają się ostre, zgrzytliwe. Występuje niekiedy dążność do neologizmów oraz niebezpieczna dla dalszego rozwoju skłonność do *patosu*, wyrażająca się w dosyć ekscentrycznych, efektywnych zestawieniach słownych.

DĄŻENIE DO SYNTEZY

Punktem szczytowym tej nowej ewolucji poezji Wierzyńskiego wydaje się być *Gorzki urodzaj*. Wszystkie nowe czynniki, zaznaczające się w dwu poprzednich tomikach w nowym utworze zostały zharmonizowane zestrojone w pełną symfonję. Podobnie jak w „Rozmowie z puszczą" wielką rolę odgrywają w „Gorzkim urodzaju" *problemy twórczości poetyckiej*. Nowym motywem w stosunku do dawnych tomików jest zainteresowanie *słowem*, samym procesem tworzenia, momentem tzw. natchnienia. Tworzenie jest dla poety czemś bolesnem, jest docieraniem w trudzie i męce do najgłębszych zagadek bytu. słowa dręczą go i prześladują, nie dając mu jednak świadomości owego „niezaznanego poznania". Wiersz wydaje się poecie jakąś bestją, którą trzeba ujarzmić i okiełznać. Świadczyłoby to o tem, że w ostatniej fazie twórczej burzliwy *potok natchnienia* łączy się paradoksalnie z równoczesną *trudnością wysłowienia*. Ważnym czynnikiem w „Gorzkim urodzaju" są nastroje *metafizyczne*. Dręczy poetę zagadnienie śmierci, bezcelowość i wieczna powtarzalność życia. Chciałby mieć serce kamienne i głuche, aby mniej czuć i temsamem mniej się męczyć. Ogarnia go coraz większe zniecierpliwienie, a nawet nachodzą go myśli o samobójstwie. Samobójcy zdają mu się posiadaczami jakiejś wyższej wiedzy o życiu, stąd bierze ich w obronę przeciw reszcie cieszących się życiem ludzi, owym „szczęśliwcom zamroczonym i nieuleczalnym". A może to tylko echo *Rimbauda?*

Niekiedy budzi się w poecie dawny nastrój „Wiosny i wina". Czuje się wtedy, jak ów jałowiec, który wszystkiemi korzeniami czepia się ziemi, walcząc bohatersko z trudnościami terenu, a nawet wrzucony do ognia „jeszcze salwami huknie gęstemi, jeszcze się celnie i dumnie odstrzeli". Stosunkowo wiele miejsca zajmują i bodaj, że najpiękniejsze są w tym zbiorku dłuższe poematy, powstałe w czasie podróży po Hiszpanji i Ameryce. Uderza w nich *aktualizacja* tematu, pisanie niejako na gorąco. Są to jakby *reportaże* napoły epickie, napoły liryczne o objawach kryzysu w tych krajach. Szczególnie dobrze wyczuł poeta średniowieczno-mistyczną atmosferę hiszpańskiego Toledo. Epos o Don Kichocie staje się dlań wyrazem ducha Hiszpanji.

W drodze do Ameryki niezmierzony obszar Atlantyku jest symbolem przyszłego zjednoczenia całej ludności. Jest to, jak widać, mocno spóźniony *pacyfizm*. New York ze swemi drapaczami chmur wydaje się poecie jakimś Labradorem świata, jakąś kamienną Mahabharatą. Człowiek w tem kamiennem mieście, opętany statystyką, rekordem, pośpiechem, szarpie się nadaremnie i woła o ratunek. Lecz kamienne miasto jest na jego wołanie:

Te ulice — to puste kamienne kanały,
Te place — to lawa wulkanów wychłodła,
A zapach słony — siarka zatruta u źródła, —
Tylko ten blask, to światło, ten sen w seledynie,
I ta lekkość, co niesie, i lot, który płynie,
I ta ziemia, co znika, i świat, co się mąci

W poemacie zaś „Miasta i ludzie" czyniąc aluzję do znanego najazdu weteranów na Biały Dom, woła poeta do *Withmana*, wyraziciela owej demokratycznej, szczęśliwej, mieszczańskiej Ameryki:

Zapchaj im pysk parszywy,
Wypraw im stypę w Białym Domu,
Niech będzie znowu szczęśliwy
I dumny Jim i Jack Oklahoma.

W całym tym zbiorku widać dążność poety do syntezy, do *monumentalności*. Chce wyrazić całą rzeczywistość w jednym, jedynym, jej własnym, niepowtarzalnym kształcie. Osiąga to często drogą *animizacji* rzeczy martwych, drogą personifikacji, peryfraz i hiperbol. Przyczynia się do tego wrażenia także i rytmika tych utworów. Obok wiersza sylabicznego, trzynastozgłoskowca i dziewięciozgłoskowca, używa poeta swoistego wiersza wolnego, akcentowego, o nierównej ilości akcentów. Takim wierszem pisane są już „Pieśni fanatyczne", takim też pisane są dłuższe poematy „Gorzkiego urodzaju": „Atlantyk", „New York", „Miasta i ludzie", przyczem w poszczególnych partjach tych poematów odmienia poeta ciągle rytmikę, osiągając tym sposobem maximum urozmaicenia.

DEBIUT NOWELISTYCZNY

Nowele z ostatniego tomiku poety pt. *„Granice świata"* osnute są przeważnie na osobistych przeżyciach poety z okresu wojny światowej i niewoli rosyjskiej. Jedna tylko nowela „Napoleon" odbiega treścią od innych. Jest to historja przemysłowca naftowego, który po bankructwie swojej firmy w szale obłąkańczym mści się na szybach. Wspólną cechą wszystkich nowel jest brak jakiejś konkretniejszej więźby ideologicznej. Temat wojny i rewolucji rosyjskiej, każe nam spodziewać się, że poeta ma w tej sprawie coś nowego do powiedzenia. Niestety, spotyka nas rozczarowanie.

W tak doniosłem bądź co bądź zjawisku społecznem jak rewolucja rosyjska widzi autor tylko terror czeki i rozpasanie mas. Żadnej próby ustosunkowania się do społecznych konsekwencyj tej rewolucji. Podobnie i w wojnie, jak większość pisarzy, widzi Wierzyński tylko jakieś faktum biologiczne, jakiś mus życiowy. Opisuje najczęściej przeżycia izolowanej jednostki w czasie wojny. Momenty opisowe są piękne i plastyczne, trudniej natomiast autorowi konstruować akcję. Opowiadania te do pewnego stopnia stylem przypominają Żeromskiego, a realizmem Goetla. Postaci ludzkie są przeważnie słabo zarysowane. Debiut nowelistyczny Wierzyńskiego trudno uważać za całkowicie udany. Świadczy on raczej dopiero o możliwościach poety na tem polu.

NOWOCZESNY KLASYK

Ewolucję twórczości Wierzyńskiego możnaby ująć pod względem treściowym jako przejście od uczuć *osobistych*, poprzez miłość *do świata* do uczuć *społecznych*. Pod względem zaś formy można ją określić jako przejście od liryki czystej, *bezpostaciowej*, poprzez lirykę *postaciową* sposobem do liryki *czystej*. Jednakowoż całe to określenie ma wartość tylko względną. Poeta najlepiej określił się sam, nazywając się „trafem i niespodzianką", bo istotnie przejście do noweli bezpośrednio po wybuchu lirycznym „Pieśni fanatycznych" jest prawdziwą niespodzianką. W przeciwieństwie do Tuwima i innych poetów *Skamandra*, których twórczość badźto się rychło wyczerpała, bądźto skończyła się na cyzelowaniu wierszyków kabaretowych do „Qui pro quo", Wierzyński zdaje się mieć oddech najdłuższy. Twórczość jego nietylko w miarę czasu nie słabnie, ale owszem odżywia się nowemi sokami i nie straciła dotychczas nic ze swej dynamiczności. Niewątpliwie dodatnio oddziałały na poetę podróże, których tyle odbył w swem życiu.

Wartość poezji Wierzyńskiego stanowi przedewszystkiem, tak rzadka w dzisiejszych czasach, *szczerość i bezpośredniość lirycznego wzruszenia*, dalej niezwykła *plastyka obrazowania* oraz *harmonja między treścią a formą*. Niema u Wierzyńskiego ani jednego tomiku, w którym forma górowałaby nad treścią. Spotykamy nieraz w jego poezji i wirtuozostwo, nigdy jednak nie stanowi ono celu samo dla siebie, lecz zawsze łączy się organicznie z tematem. Niema u Wierzyńskiego jakiejś szczególnej dażności stylistycznej, jakiejś skłonności do twórczości językowej, do neologizmów (poza nielicznemi wyjątkami) i niezwykłych konstrukcyj składniowych. Język jego jest prosty, bez wszelkiej przesady, nawskróś realistyczny. Jest tylko wola oddania wzruszenia lirycznego w sposób jaknajbardziej plastyczny i jaknajlepiej odpowiadający wewnętrznej naturze przeżycia. Mimoto ma Wierzyński swą *własną formę*, swój *własny styl*, lecz o jego odrębności stanowi nietyle słownictwo, ile *porównania i przenośnie*. Wierzyński — to przedstawiciel współczesnego polskiego *klasycyzmu*.

Arkady

Listopadowy, siódmy zeszyt tego wytwornego miesięcznika zawiera ciekawe uwagi na temat *„starego mebla w nowoczesnem wnętrzu"*, dowodzące, że stare sprzęty, posiadające — zdawałoby się — chyba wartość muzealną, mogą „ożyć" nawet w nowocześnie urządzonem mieszkaniu.

W artykule *„O nowe krzesło"* podaje autor ostrej krytyce nowoczesne „style" krzeseł, które zamieniły się w „maszyny do siedzenia", lub wzorowane są na nowoczesnych formach architektonicznych, — nie mając nic z przytulności i wygody „foteli prababki".

Doskonały jest artykuł *„O piękne drogi"*, którego uzupełnieniem są zdjęcia z nowo otwartej drogi przez Grossglockner.

W sprawozdaniu z *IX międzynar. Salonu fotografiki* znajdujemy ostre słowa pod adresem fotografów polskich, zahypnotyzowanych „stylem" Bułhaka, a nie silących się na szukanie nowych, oryginalnych dróg.

Bogatą i urozmaiconą treść uzupełniają liczne, doskonałe ilustracje, wśród których na pierwszy plan wybijają się nastrojowe zdjęcia dr. T. Przypkowskiego *„Dzień Zaduszny w Warszawie"*, — oraz zwykła rubryka *„Pod Arkadami"*. Całość, jak zawsze, piękna i bardzo wartościowa.

LORD BADEN-POWELL

Jokilobovu

Nakładem Księgarni T. S. L. we Lwowie pojawi się wkrótce najnowsze dzieło gen. Baden - Powell'a, „pierwszego skauta świata", zawierające wspomnienia z jego bogatych przeżyć w czasie wojny i pokoju, wśród dzikich plemion afrykańskich, — z jego polowań na dzikie zwierzęta oraz z tak trudnej, emocjonującej, a niebezpiecznej służby wywiadowczej.

Z dzieła tego zamieszczamy poniższą nowelkę w starannym i wiernym przekładzie Kazimierza Ry chłowskiego. REDAKCJA.

Dżentelmen ten nazywał się Jokilobovu.

Gdybyście próbowali wyobrazić sobie rodzaj człowieka godnego podobnego nazwiska, — sądzę, że ten, który w rzeczywistości je nosił, odpowiadałby najzupełniej Waszym o nim wyobrażeniom.

Był to dzikus, rosły, silny, o jowialnie uśmiechniętej gębie.

Kiedy po wyjściu z wioski zapuszczał się w dżunglę, w wietrze i słońcu, — robił wrażenie człowieka, świadomego swego znaczenia, a pełnego radosnej siły witalnej.

I naprawdę był to piękny mężczyzna, olbrzymiego wzrostu. Potężne jego mięśnie, powleczone lśniącą oliwą, przypominały polerowany bronz. Na biodrach zwisała mu opaska ze skóry dzikiego kota; w ręku niósł potężną maczugę z twardego, sękatego drzewa, połyskującą w promieniach słońca.

— Żywym jego kontrastem był mały, zgięty we dwoje staruszek, który szedł za nim pokornie i cicho krok w krok.

Niewiasty i dzieci z pewnej grupy chat, ścigały wzrokiem obu idących, zasłaniając dłonią oczy od słońca. Inne zaledwie odwracały lekko głowę.

Staruszek „szedł na spacer" razem z Jokilobovu. Wyrażenie to rozumieli doskonale mieszkańcy Embekelwane. Taki „spacer" jest rzeczą dość częstą w tym kraju.

Niezadługo ze spaceru powróci tylko sam Jokilobovu, torując sobie wesoło drogę poprzez gąszcza, z bronią w ręku. Spełni swoje zadanie.

Jakież to zadanie? Uwolnić szczep od jednej gęby, — usunąć z niego człowieka, który nie potrafi już zarobić sobie na pożywienie czy to jako myśliwy, czy jako wojownik lub doradca.

I kiedy tak sobie idą, — ten którego Jokilobovu prowadzi, nie myśli zupełnie ani o ucieczce, ani o ukryciu się; odegrał już swoją maleńką rolę w życiu; wybiła jego godzina... Odwieczny to zwyczaj szczepu, taksamo święty i nienaruszalny, jak obowiązkowa biała krawatka na balu w Londynie.

Rodzina i przyjaciele po raz ostatni spoglądają na niego z pewną ciekawością. A przed nim, ponad „wzgórzem śmierci" sępy już kołują, jakby go chciały witać.

— Jokilobovu, powiedz mi, ilu ludzi zabiłeś już w ten sposób?

Wesoły drab, spoglądając z góry na pytającego, śmieje się tylko całą gębą i odpowiada pytaniem:

— Ile zwierzątek liczy jedna chmura szarańczy?

W czasie, gdy zawarłem z nim znajomość, Jokilobovu miał pełne ręce roboty. Szczep opłakiwał właśnie zmarłego króla. Kiedy wielki wódz umarł, — wieść o tem rozeszła się błyskawicznie, dzięki owemu telegrafowi bez drutu, jakim posługują się dzisy, a którego sekret dotychczas nie został zbadany.

Ale etykieta nakazywała nie wiedzieć nic o tym zgonie, aż do chwili jego oficjalnego ogłoszenia. A na to trzeba było czekać dobrych parę tygodni. — z czysto ludzkich powodów. Narazie było umówione, że nikt w całym kraalu nie będzie ani śpiewać, ani tańczyć, ani ucztować, ani palić.

Z chwilą kiedy król oddał ostatnie tchnienie, zabijano jednego z wołów królewskich, ściągano z niego skórę i zawijano w nią zwłoki. Następnie robiono otwór w ogrodzeniu kraalu i przez otwór ten nocą, pokryjomu, wynoszono zwłoki, celem przetransportowania ich w niedostępne góry. Tam składano je w specjalnej grocie. Zwłokom towarzyszyły wdowy po zmarłym, które też miały o nim staranie.

Tam w górach pełniły one swą smutną straż aż do chwili, kiedy zarówno skórzana trumna jak i umieszczone w niej zwłoki wyschły zupełnie. Od czasu do czasu damy te potrząsały mocno trumną. Kiedy wreszcie posłyszały suchy chrzęst kości, — zwiastujący kompletne wysuszenie, — uważały, że nadszedł właściwy moment dla publicznego obwieszczenia rzeczywistej i nie ulegającej wątpliwości śmierci króla.

Teraz następowały dwie najważniejsze ceremonje. Przedewszystkiem wydobywano zwłoki z groty i ustawiano na świeżem powietrzu. Następnie prowadzono na to miejsce wszystkie czarne woły ze stada królewskiego. Pierwszy wół, który zbliżył się do trupa i zdawał się zwracać na niego uwagę, dostawał imię zmarłego i miał zapewnione na całe życie dostatnie pożywienie i troskliwą opiekę. W przekonaniu krajowców bowiem w niego właśnie weszła dusza zmarłego wodza.

Następnie przystępowano do wykopywania szerokiej fosy, do której miały być złożone kości królewskie. Grobowiec musiał być obszerny, — miały bowiem w nim znaleźć pomieszczenie nietylko szczątki królewskie, ale i wszystkie pozostałe po nim wdowy, które chowano żywcem. Bo przecież nie można pozwolić na to, by ten wielki człowiek i wódz sam jeden, bez towarzystwa, przechodził na drugi świat!

Wobec podobnych ceremonij pogrzebowych trudno się dziwić, że te damy wahały się długo, zanim zdecydowały się proklamować publicznie zgon króla. Ale nie one same tylko czekał taki los.

Przypadek zrządził, że właśnie w tym czasie należałem do komisji, wysłanej do tego kraju. Że zaś król umarł zatem mieliśmy do czynienia z jego matką, pełniącą funkcję regentki, oraz z ministrami.

Pewnego dnia na umówionej konferencji nie zjawił się sam premjer ministrów. Kiedy zapytaliśmy, co się z nim dzieje, wśród zebranych rozległo się coś w guście śmiechu. Odpowiedziano nam ogólnikowo, że zdrowie premjera pozostawia nieco do życzenia. Nazajutrz zniknął minister spraw zagranicznych, potem wielki podczaszy, potem ochmistrz dworu.

A kiedy po raz piąty z rzędu postawiliśmy to samo pytanie, — królowa odpowiedziała nam nieoczekiwanie:

— Ach, jacyż wy jesteście naiwni! Jakto? czyż nie wiecie? „poszli na spacer".

Owszem, wiedzieliśmy, co to znaczy. Przypomniały nam się odrazu te spacery w towarzystwie Jokilobovu, na pagórek śmierci, skąd nikt już nie wracał!

Było to zupełnie zrozumiałe: zmarły król potrzebował przecież nietylko swoich żon, ale i swych doradców i sług. Muszą być na jego rozkazy na tamtym świecie, taksamo jak byli i na tym. I dlatego o wysyłano ich wszystkich w ślad za ich panem.

Naturalnie robiliśmy z tego powodu wyrzuty królowej - matce. Poczuła się tem nieco dotknięta i odpowiedziała nam temi słowy:

— Ależ to drobnostka. Zmuszona jestem posłać mu dużo ludzi, by mu dotrzymali towarzystwa. Zastanówcie się sami. Cały naród opłakuje swego króla. W każdej wiosce ujrzycie dużo ludzi pogrążonych w płaczu i lamencie.

Ba, — ale jest dużo wiosek, których mieszkańcy nigdy go nie widzieli na oczy. Więc kto wie, — może te ich łzy są czystą komedją tylko, — a ich żal nie płynie ze szczerego serca?

Dlatego też, by sprowadzić szczerą, prawdziwą żałobę, rozsyłam moich wysłanników, którzy w każdej wsi mają zabić jednego lub dwóch ludzi. W ten sposób cały mój naród będzie musiał naprawdę kogoś opłakiwać.

Oświadczyliśmy jej na to, że wszystko to bardzo ładnie, że jednak najsławniejsze królowe w naszych czasach nie postępują w ten sposób.

Poczęła się wypytywać o Wielką Białą Królowę, Wiktorję. Czy ona nigdy nie zabiła nikogo?

— Ach, nie! Prawie nigdy. Chyba w rzadkich, wyjątkowych wypadkach, — a i to dopiero na podstawie słusznego i sprawiedliwego wyroku.

— Doskonale, — w takim razie i ja nie mam sobie nic do wyrzucenia, bo i ja kieruję się zawsze ścisłą sprawiedliwością. Kiedy mój wykonawca przybywa do jakiej wsi, każe wszystkim mieszkańcom zasiąść w koło, poczem obchodzi ich kolejno, wskazując palcem tego czy owego. W ten sposób wybiera na chybił — trafił ludzi skazanych na śmierć.

Kiedy siejesz proso, — jedne ziarna padają na ziemię pulchną i wilgotną, inne na suchą i twardą, — jedne na stronę słoneczną, drugie w cień. To rzecz szczęścia. Siewca robi wszystko co może, — a każdy ma równe szanse.

Taksamo ma się rzecz z moim wysłannikiem i tymi ludźmi. Dla niego są oni zupełnie obcy i nieznani; niema mowy o jakichś względach czy szczególnej sympatji, — wszyscy mają jednakie szanse".

Potrafiliśmy ocenić należycie najlepsze intencje królowej, — aby jej wkońcu oświadczyć, że skoro jej naród traktowany jest obecnie na równi z takiemi narodami, które rzeczywiście coś znaczą w świecie, — trzeba jej raz skończyć z podobnie niegodziwemi metodami.

Przyznała nam zupełną rację. To samo zresztą mówili jej i misjonarze. Naród jej zajął stanowisko tak wysokie, jak nigdy dotychczas. Rozumie to dobrze, że podnosząc swój naród pod nosi zarazem i siebie. Że wkrótce już nie będzie musiała błądzić wzrokiem po horyzoncie, szukając spojrzenia Wielkiej Białej Królowej, — lecz będzie mogła zasiąść obok niej na tych samych szczytach, ręka w rękę, jako suwerenna siostra.

Oświadczenie to przyjęliśmy z entuzjastycznym aplauzem.

— Zatem jesteśmy w zgodzie?

— Tak, tak!

— I nie będzie więcej powodu do upominania jej lub karcenia?

— Nie, napewno nie!

— Doskonale. W takim razie pojutrze ustają wszelkie egzekucje.

Spojrzałem z ukosa na Jokilobovu: z twarzy jego wyczytałem, że prawdopodobnie nie zdawał sobie w pełni sprawy z tego, co mu grozi. Uśmiechał się jak zawsze, ale uśmiechem raczej zamaskowanym, jakby w stadjum zawieszenia. Chwilowo niepodobna było odgadnąć, co się za tym uśmiechem kryje.

— Tak, — potwierdziła królowa, — pojutrze. Narazie, zanim jeszcze stary system zostanie definitywnie obalony, pozostawała jeszcze okrągło dziewięć osób, które — jej zdaniem — należało polecić opiece Jokilobovu. (Zrozumiał to wmig, twarz mu się rozjaśniła...)

Jest pewną, że po tych, tak wielkich ustępstwach, na jakie się zgodziła — nie możemy odmówić jej zgody na te końcowe ceremonję, tak wspaniale zamykającą stary, a otwierającą nowy porządek rzeczy.

Nieoczekiwana ta, a chytra propozycja, podkreślona najmilszym uśmiechem i czarującem spojrzeniem wielkich czarnych oczu, napotkała naturalnie na sprzeciw z naszej strony. Był on jednak tak słaby, że jakoś nigdy nie mogłem uwierzyć, jakoby tych dziewięciu skazańców zdołało uniknąć owego fatalnego spaceru. Zwłaszcza, że w dniach następnych Jokilobovu był wyjątkowo dobrym humorze, nie okazując ani śladu jakiegoś zafrasowania, charakteryzującego bezrobotnego funkcjonarjusza.

W każdym bądź razie, zanim zdążyliśmy ochłonąć i wnieść protest w rzeczywiście skutecznej formie, chytra przeciwniczka już nas uprzedziła, posiłkując się najodpowiedniejszą, jej zdaniem, metodą strategiczną — i przypuściła odrazu kontratak na nasze pozycje. A choć od tego bombardowania upłynęło już parę dziesiątek lat, — dźwięczy mi on dotychczas w uszach, a zburzone przez niego okopy dotychczas leżą w gruzach.

Zaczęło się to od pewnego rodzaju kodycylu do jej decyzji o położeniu kresu egzekucjom: może nam jedynie zaręczyć, że ona sama osobiście egzekucyj tych nakazywać nie będzie. Jeżeliby jednak jej młodzi wojownicy wybrali się w drogę z zamiarem zabijania, — to jej to nic nie będzie obchodzić. To już ich sprawa.

Dodała przytem przykładowo, że podobny wypadek może zajść w najbliższych dniach, o ile zdecydują się skorzystać z pięknej nocy dla zabicia czterech czy pięciu białych kupców w tych stronach.

— Ależ... chyba nie mówisz tego na serjo? — zaprotestowaliśmy głośno.

— Owszem, taki Widzicie, moja starszyzna rozpatrywała bardzo uważnie tę sprawę i doszła do wniosku, że ci kupcy postępują z nami niegodziwie, — w szczególności sprzedają naszym poddanym *gin* w tak dużych ilościach, że nasi młodzi wojownicy i dziewczęta są zupełnie zniszczeni materjalnie i moralnie.

„Ale nie koniec na tem! Wodzą oni na pokuszenie nawet tych, których obowiązkiem jest utrzymywać naród na prostej drodze: ludzi krwi królewskiej i nawet księżniczki. Ostrzegaliśmy tych kupców niejednokrotnie. Ale napróżno! Zło pleni się dalej!

„Kiedy lew zabija hienę, co pożera nieżywe lwy, — możnaby sądzić, że czyni to z osobistej antypatji. Otóż nie; poprostu z przyjaźni dla pantery, swej towarzyszki lwów, bo hiena jest ich wspólnym wrogiem. Lew zabija na ich wspólny rachunek.

„Otóż zabijając tych ludzi, działamy w interesie waszym własnym oraz w interesie misjonarzy i ich dobrego dzieła. Dlatego jesteśmy przekonani, że nie odmówicie nam swej zgody i poparcia w tej drobnej sprawie.

„Misjonarze opowiadali nam dużo o dobroci i szlachetności Anglików. Mówili, że skoro przyjmiemy ich religię, staniemy się podobni do nich: szlachetni, zacni, uczynni dla wszystkich, moralni, trzeźwi, czyści i zdrowi. Czyż to nieprawda?"

Przytaknęliśmy jej z całego serca.

— Doskonale! Uwierzyliśmy ich słowom. Toteż kiedy biali ludzie spytali nas, czy mogą przyjść do nas i otworzyć sklepy w naszym kraju, — my, władcy tego narodu, przyjęliśmy ich dobrze. Wiedzieliśmy, że pokażą oni naszemu narodowi, w jaki sposób w życiu codziennem wprowadzają w czyn te wszystkie piękne i dobre przepisy.

„Przyszli więc. Żyli wśród nas przez parę lat. I przekonaliśmy się teraz, że nas okłamali, że oszukują nas na każdym kroku. I sami piją i rozpijają naród; kradną nam bydło i kobiety, a z dzieci robią niewolników; nie płacą nigdy za to, co kupili.

„Żądaliśmy, by wrócili do swego kraju, — a oni nas za to przeklinają, biją i strzelają.

„Dowiedli nam, że misjonarze są kłamcami, — a zachodzi obawa, że i

wy sami, dzięki ich niecnym czynom, zdobędziecie wkońcu opinję kłamców. Dlatego też moi ludzie chcą wyprowadzić owych kupców „na spacer", — zarówno w swoim własnym interesie, jak i dla ratowania waszego honoru.

„Właściwie nie powinnam była mówić wam tego wszystkiego, — zamierzaliśmy bowiem zgotować wam w ten sposób któregoś dnia maleńką, miłą niespodziankę, — ale chcieliśmy wam dać dowód naszego zaufania. Bo chociaż biali ludzie — zarówno misjonarze, jak kupcy — okłamali nas haniebnie, — staramy się przynajmniej wam jeszcze wierzyć."

Sprawa była paskudna, a cios dobrze wymierzony. Królowa miała rację. Idea misjonarzy — jak to często się zdarza, — została zupełnie wypaczoną przez chrystjanizm w praktycznem zastosowaniu. I tym razem lekcja objektywna zawiodła. Fakt to niezbity, upoważniający aż nazbyt często do postawienia pytania, czy nie lepiejby było, gdyby podobne misje zaczynały swą działalność od własnego domu? Gdyby misjonarze tam przedewszystkiem skierowali swe wysiłki celem wytępienia zbrodni, grzechów, nędzy i zła, krzewiąc na ich miejsce zasady chrystjanizmu wśród swego własnego narodu? I dopiero potem szli jako prawdziwi misjonarze między pogan i wysyłali tam ludzi, zdolnych dać swym czarnym braciom wzór cnoty w codziennym znoju życia?

Trudno było odparować ten atak czarnej królowej. Mogliśmy jej conajwyżej oświadczyć, że interwencja tych młodych ludzi jest zbyteczna, — że właśnie poto tu jesteśmy, aby rozpatrywać podobne drobne nieporozumienia, — że rozmówimy się sami z tymi kupcami i załatwimy z nimi całą sprawę, — że wreszcie trzeba rzeczywiście położyć kres tym nadużyciom, zwłaszcza sprzedaży alkoholu.

Tą ostatnią sprawą postanowiliśmy zająć się bezzwłocznie.

— I postaracie się o zniszczenie wszystkich zapasów *ginu*, tak, aby w przyszłości nikt nie mógł go nadużywać?

— Napewno! Bierzemy to na siebie. Możecie być o to spokojni. No, a teraz, wracajcie w spokoju do waszych kraalów.

Królowa zabrała się do odejścia razem z innymi, — po chwili jednak zatrzymała się, czekając, aż wyjdzie jej świta i wszyscy zebrani. A kiedy zawróciła ku nam, byliśmy najzupełniej pewni, że ma zamiar podziękować nam w paru ciepłych słowach.

Spojrzała ukradkiem, by upewnić się, że nikt jej nie słucha. W oczach jej malowała się gorąca prośba, kiedy z najbardziej czarującym uśmiechem wyszeptała:

— Skoro będziecie niszczyć ten *gin*, schowajcie jedną, jedyną skrzynkę — dla mnie!

A poza jej plecami Jokilobovu szczerzył zęby w uśmiechu.

TADEUSZ KWASNIEWSKI

Skarby kultury człowieka na Ziemi Pokuckiej

Usiłując poznać i zgłębić drogę rozwoju kultury, musimy sięgnąć do źródeł prehistorycznych, t. j. wykopalisk, na podstawie których możemy sobie wyrobić pogląd na poszczególne etapy rozwoju kultury. Nauka zajmująca się badaniem pierwszych przebłysków twórczości ludzkiej — w całem tego słowa znaczeniu — prehistorja, jest stosunkowo nauką młodą, bowiem w starożytności ograniczono się jedynie do postawienia — na podstawie metafizycznych wywodów filozofów — pewnych twierdzeń, nieraz bardzo śmiałych, odnośnie co do powstania ziemi i człowieka, a pozatem stwierdzono, że człowiek pierwotny posługiwał się kolejno narzędziami z kamienia, potem z bronzu, a wreszcie z żelaza.

Wieki średnie na polu badań kultury rozwiązania zagadki genezy powstania człowieka nie wiele przyczyniły się do rozwiązania zagadki genezy powstania i kształtowania się kultury, poza tem tylko, że znalezione przedmioty z odległych epok, jak naczynia gliniane, narzędzia kamienne i kości ludzkie przechowywano, w śmieszny sposób tłumacząc sobie ich istnienie. W średniowiecznych kronikach znachodzimy „wyjaśnienia", dotyczące pochodzenia znalezionych naczyń. Wyjaśnienia te są jednak tak naiwne, że wcale się przyczyniły do badań nad rozwojem kultury. Naprzykład uważano naczynia gliniane znalezione w ziemi za naturalny produkt ziemi, zaś toporki kamienne uważano za produkt starcia się chmur w czasie burzy.

Dopiero czasy nowożytne poczyniły już znaczny krok na polu badań archeologicznych, a znaleziony materjał w postaci wytworów ręki człowieka, pozwolił na rozbudowę tej gałęzi nauki, oraz przyczynił się do poznania początków kultury. Nie mniej jednak — mimo wielkich zdobyczy naukowych, archeologja prehistoryczna ma jeszcze bardzo dużo białych, nie zapisanych kart. To też wszelkie poczynania na tem polu przyczyniają się do rozbudowy naszej wiedzy o początkach i rozwoju kultury, oraz do pogłębienia wiedzy o człowieku. Poza ogólnemi zarysami wiadomości z archeologji prehistorycznej, zajmują nas najbardziej badania archeologiczne naszej ziemi, zwłaszcza tej jej części, na której mieszkamy, ponieważ w ten sposób powiększamy zasób naszych wiadomości o swoim kraju, poznajemy początki rozwoju człowieka na tej ziemi i przyczyniamy się do wzbogacenia własnej historji.

Skarbnicą zabytków archeologicznych z czasów prehistorycznych jest Ziemia Czerwieńska, a zwłaszcza jej południowo-wschodni obszar. Ziemia Pokucka, na której znajdujemy ślady najdawniejszej bytności człowieka w postaci kurhanów, cmentarzysk i grodzisk. Cały ten obszar ziemi na kresach południowo-wschodnich Polski jest bogaty w zabytki prehistoryczne, z czego obszar Podola jest już w bardzo dużej mierze poznany i opracowany, zaś teren Pokucia pod względem badań prehistorycznych jest prawie zupełnie nieznany, chociaż posiada wiele cennego materjału archeologicznego. — Dopiero w ostatnich czasach przeprowadzane są badania archeologiczne i roboty wykopaliskowe, prowadzone z ramienia Muzeum Pokuckiego w Stanisławowie przez Dra Grabowskiego ze współudziałem Instytutu Pr historji U. J. K. we Lwowie, oraz przez Dr. Pasternaka z ramienia Muzeum im. Szewczenki we Lwowie. W artykule tym pragnę pobieżnie zaznajomić czytelników z wynikami dotychczasowych prac wykopaliskowych na Pokuciu (w wojew. stanisławowskiem), a pozatem wspomnę ogólnie o zabytkach prehistorycznych z epoki neolitycznej, znajdujących się na obszarze południowo-wschodnich ziem Rzeczypospolitej.

Do najciekawszych zabytków prehistorycznych znalezionych na terenie województwa stanisławowskiego, zaliczyć należy odkrycie w ub. r. mogił scytyjskich, w których znaleziono wiele cennych rzeczy, m. in. lustra scytyjskie — zabytki jedyne w Polsce. Cały znaleziony materjał jest własnością Muzeum Pokuckiego w Stanisławowie, znajduje się jednak obecnie w opracowaniu Instytutu Prehistorj U. J. K. we Lwowie. Dopiero po ukończeniu tych prac będzie można ogłosić o zabytkach scytyjskich znalezionych w wojew. stanisławowskiem szerszą pracę.

Nie mniej ciekawych odkryć dokonano w pow. stanisławowskim, w majątku pp. Horodyskich — Komarowie, gdzie znaleziono cmentarzysko z epoki kamiennej neolitycznej, a więc mniej więcej z przed 4.000 lat (2.000 lat przed nar. Chr.) oraz z pogranicza epoki neolitycznej. Cmentarzysko to ciągnie się na grzbiecie działu wód rzeki Łomnicy, od Komarowa po Sapohów, na przestrzeni kilku km., obejmując kilkadziesiąt kurhanów.



Rozkopany kurhan na cmentarzysku w Komarowie. Na zdjęciu widoczne urny i naczynia gliniane.

Zabytki znalezione w tych kurhanach wskazują, że cmentarzysko to powstało w dużej odległości czasowej. Rozmiary kurhanów wahają się w granicach od 10 do 20 m. średnicy podstawy i od 30 cm. do 4 m. wysokości. Prowadzone w miesiącach letnich roboty wykopaliskowe w Komarowie, z ramienia muzeum Pokuckiego przez dyr. muzeum dr. Józefa Grabowskiego przy współudziale Instytutu Prehistorji UJK., doprowadziły do rozkopania 40 kilku kurhanów, w których znaleziono wiele cennych przedmiotów, jak naczynia gliniane ornamentowane wzorami z epoki ceramiki sznurowej, narzędzia, jak toporki kamienne z granitu, krzemienne groty do oszczepów, strzał, krzemienne noże i t. p. — W innych kurhanach, oprócz zabytków kamiennych znaleziono ozdoby z bronzu, a nawet ze złota. W jednym kurhanie znaleziono bursztynowe korale koloru zielonego, co wskazuje na ich spalenie.

Niektóre kurhany wskazują na obrzędy całopalne, a zebrane szczątki spalonych kości wykazują szwy płaskie i ząbkowane, charakterystyczne dla kości czaszki. Na jednym z większych odłamków kości wyraźnie zaobserwowałem odcinek szwu lamboidalnego w części jego rozgałęzienia się. Oczywiście dopiero dokładne badania znalezionych w kurhanie spalonych szczątków kości, pozwolą określić, czy są one pochodzenia ludzkiego, czy zwierzęcego. Mojem zdaniem już pobieżne oględziny tych kości przemawiają za tem, że są one pochodzenia ludzkiego.

Wynik dotychczasowych badań wskazuje, że w rozkopanem w 3/4 cmentarzysku (do rozkopania pozostało jeszcze kilkanaście kurhanów) grzebano osobistości jakiegoś możnego rodu. Istnienie cmentarzyska w lasach komarowskich nasunęło wniosek, że w pobliżu znajdować się musiała osada ludzka. Wniosek ten został potwierdzony odkryciem śladów osady ludzkiej z epoki neolitycznej na polach komarowskich. Odkrycie to nastąpiło w sposób zupełnie przypadkowy w czasie orki. Jak dotychczas nie zostały jeszcze podjęte prace wykopaliskowe nad osadą, nie mniej zostaną one w dogodnym i najbliższym czasie przeprowadzone przez muzeum Pokuckie.

O technice prac wykopaliskowych należałoby napisać osobny artykuł. Są one niezmiernie ciężkie z powodu twardości gruntu, a pozatem muszą być prowadzone bardzo ostrożnie i skrupulatnie, ażeby nie uszkodzić znalezionych przedmiotów, oraz ażeby niczego nie przeoczyć. Prace wykopaliskowe muzeum Pokuckiego finansowane są przez Fundusz Pracy, dzięki pozytywnemu ustosunkowaniu się do tej imprezy wojewody stanisławowskiego p. Jagodzińskiego.

Niezależnie od robót wykopaliskowych muz. Pokuckiego, prowadzone są analogiczne prace przez dr. Pasternaka, dyr. muzeum im. Szewczenki we Lwowie. Dr. Pasternak przeprowadza wykopaliska w pow. nadwórniańskim, we wsi Kamienna, gdzie natknął się na groby całopalne z doby późno-rzymskiej z IV., V. w. po Chr. Znalezione tam wykopaliska również przedstawiają cenny materjał naukowy. M. in. znaleziono piękną amforę koloru czerwonego, wysoką na 65 cm., o ostro zakończonem dnie, z dwoma uchami wystającemi ponad szyję. Amfora ta była wkopana w ognisko. Pozatem z szeregu innych miejscowości wojew. stanisławowskiego komunikują o śladach zabytków prehistorycznych. Trzeba pamiętać, że przeprowadzanie robót wykopaliskowych prócz trudności natury ogólnej, natrafia jeszcze na negatywne ustosunkowanie się miejscowej ludności ruskiej, w odniesieniu do muzeum Pokuckiego, podczas gdy zupełnie przeciwnie ma się rzecz w odniesieniu do muzeum im. Szewczenki.

Znalezione zabytki z epoki neolitycznej na Pokuciu bezprzecznie odnoszą się do początków istnienia człowieka na tym obszarze ziemi. Jak wynika bowiem z dotychczasowych badań antropologicznych, na terenie Małopolski Wschodniej pojawił się człowiek dopiero w młodszym okresie kamiennym, neolitycznym, ponieważ nie znaleziono żadnych śladów człowieka z przed tego okresu na terenie Małopolski Wschodniej. Stąd też okres neolityczny uważać należy za najstarszą granicę rozwoju kultury ludzkiej w Małopolsce Wschodniej.

Na marginesie tych rozważań nie od rzeczy będzie poświęcić parę słów zagadnieniu, kiedy człowiek wogóle poraz pierwszy pojawił się na ziemi. Jak wiadomo historja wieku ziemi wyróżnia cztery okresy geologiczne, a to: 1) okres najstarszy — archaiczny, 2) okres paleozoiczny (dzielący się na pięć systemów: kambryjski, sylurski, dewoński, węglowy i permski), 3) okres mezoiczny (dzielący się na trzy systemy: trjasowy, jurajski i kredowy) i 4) okres kenozoiczny (dzielący się również na trzy systemy: trzeciorzędny, czwartorzędny i okres teraźniejszy). Człowiek pojawia się dopiero w czwartorzędzie (dyluwium), z których to czasów zachowały się szczątki kopalniane człowieka. Czwartorzęd przyjąć można z całą pewnością jako okres pojawienia się człowieka, chociaż istnieją hipotezy, przyjmujące pojawienie się człowieka na ziemi w trzeciorzędzie.

W Europie pierwsze ślady człowieka dyluwialnego znaleziono we Francji i w Europie południowej, skąd rozprzestrzenił się on na całą Europę, docierając na Podole i Pokucie w okresie neolitycznym, tj. kamienia gładzonego (w przeciwieństwie do epoki paleolitycznej, tj. kamienia łupanego). Zaznaczyć należy, że tak epoka paleolityczna, jak i neolityczna odnoszą się do tego samego okresu, w którym człowiek posługiwał się narzędziami kamiennemi. Epoka paleolityczna — starsza, dotyczy kamienia łupanego, zaś epoka neolityczna — młodsza dotyczy okresu kamienia gładzonego.

Znalezione w Europie ślady człowieka dyluwialnego w okresie paleolitycznym wskazują, że prowadził on życie koczownicze, zajmując się myślistwem. Właściwe ślady osadnictwa człowieka znajdujemy na Podkarpaciu w okresie neolitycznym, kiedy to człowiek osiada już na stałe, zaczyna zajmować się uprawą roli i hodowlą bydła.

W tym czasie — jak podaje Bohdan Janusz w dziele p. t. „Kultura przedhistoryczna Podola Galicyjskiego" na str. 54 „...zajął ziemie przykarpackie lud długogłowców, któremu zawdzięczamy najpierwotniejsze zaczątki kultury kraju na-

szego". Należy więc uważać okres neolityczny za granicę początku rozwoju kultury ludzkiej na ziemiach Małopolski Wschodniej.

Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa człowiek osiadły na Podolu i Pokuciu przywędrował ze wschodu, a za linję graniczną uważać należy rzekę San. Pierwsze osiedla ludzkie na zachód od Sanu wywodziły swój początek z wędrówek ludów zachodnich, podobnie, jak osiedla na wschód od Sanu brały początek z wędrówek wschodnich. Silnie zwłaszcza uwidoczniała się gęstość osiedlenia po lewym brzegu dolnego biegu Dniestru aż po rzekę Zbrucz, na Podolu i Pokuciu. Dowodem tego liczne zabytki prehistoryczne Podola i Pokucia, w postaci kurhanów, grobów (charakterystycznych dla Podola grobów t. zw. skrzynkowych), śladów grodzisk i t. p.

Ponieważ na Pokuciu groby skrzynkowe nie występują, staje się ciekawem zagadnienie, czy kultura grobów skrzynkowych na Podolu pokrewna jest kulturze neolitycznej Pokucia. Zagadnienie to dzięki ostatnim wykopaliskom, jak i najbliższym pracom archeologicznym na Pokuciu — mam wrażenie — zostanie pozytywnie rozwiązane. Znalezienie kości w jednym z komarowskich kurhanów, o czem wspominałem wyżej, utwierdza poglądy co do istnienia grobów ciałopalnych na Pokuciu (w pow. stanisławowskim) i stanowi swego dzaju wyjątek w neolicie Małopolski Wschodniej, o czem też wspomina Janusz w wyżej cytowanem dziele, na str. 57-mej.

Znalezione ostatnio przedmioty w kurhanach komarowskich, dowodzą niezbicie, że były one przedmiotami używanemi przez człowieka neolitycznego. Nożyki krzemienne długości około 90 do 100 mm. i do 30 mm. szerokie, są wytworem łupanego krzemienia. Ostre brzegi tych nożyków miejscami wyszczerbione, świadczą o używaniu tych narzędzi. — Podobnie przedstawia się sprawa z grotami krzemiennemi do oszczepów, przyczem zbite niektóre ich końce również świadczą, że broń ta była używana. Znalezione groty do strzał wykazują bardzo misterną robotę, przyczem wyraźnie widoczne są ślady gładzenia. Szereg innych drobnych przedmiotów krzemiennych wskazuje, że mogły być one używane jako noże lub dłuta. Znalezione siekierki kamienne, wskazują na robotę bardzo staranną i dokładną. Siekierki te, kształtu pękatego, stosunkowo nie wielkie, na powierzchni swej są wygładzone i posiadają wywiercony otwór na toporzysko.

Naczynia gliniane, jakie znaleziono w kurhanach komarowskich kształtem swym przypominają naczynia używane dzisiaj. Jedne kształtu podłużnego, od podstawy wypuklają się kolisto na zewnątrz, poczem w górze u szyjki lekko wygiętej od środka, zwężają się. Znaleziona miska wyglądem swym przypomina miski powszechnie używane do dnia dzisiejszego na wsi. Kolor tych naczyń jest brudno czarny, a glina z jakiej naczynia te sporządzono, jest iłowato ziarnista. Budowa naczyń wskazuje, że nie znano wówczas krążka garncarskiego. Ornamentacja naczyń jaka się zachowała, nie została jeszcze dokładnie zbadana, ustalono tylko, że należy ona do t. zw. ceramiki sznurowej. Znalezione korale bursztynowe są kształtu kolistego nieforemnego, wyglądem przypominające spadające krople, są pozostałością jakiejś ozdoby.

Tyle byłoby ogólnych wiadomości o ostatnich wykopaliskach. Jak już zaznaczyłem, na terenie województwa stanisławowskiego pod względem badań archeologicznych jest jeszcze bardzo wiele do zrobienia, ponieważ całe Pokucie w tym kierunku jest jeszcze nie wyzyskane. Ostatnie wykopaliska dowodzą, że należałoby tej części kraju poświęcić więcej pracy, co oczywiście jest uzależnione od możliwości finansowych Muzeum Pokuckiego w Stanisławowie. Zebrany dotychczas materjał prehistoryczny przedstawia wielkie bogactwo naukowe, nie jest jednak jeszcze wystarczający do opracowania historji kultury Pokucia od czasów jej zarania na tej ziemi.

Najmniejsza kolonja francuska w Afryce

Wśród rozległych kolonij francuskich w Azji i w Afryce zajmuje Somali bardzo skromne miejsce, o ile idzie o obszar, zaludnienie i bogactwa naturalne tego kraju. Bo też co znaczyć może te 20 tysięcy kilometrów kwadratowych niegościnnej, spalonej słońcem ziemi wobec Maroka, Indochin lub Madagaskaru?

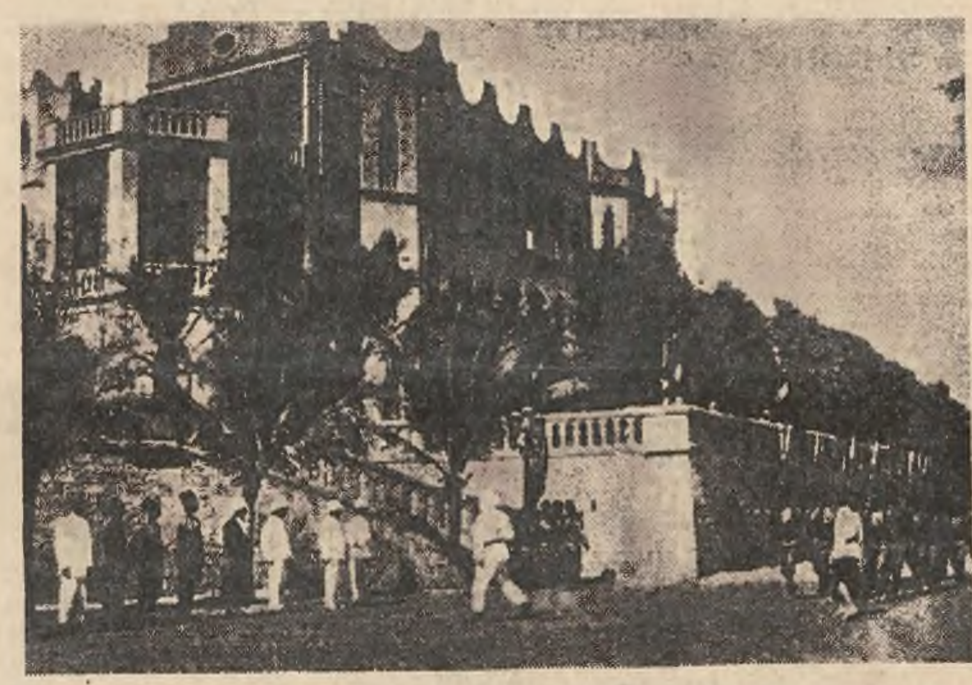
Trzeba jednak uważnie przestudjować mapę Afryki, a wówczas uprzytomnimy sobie wyjątkowe znaczenie francuskiego Somali, wynikające z położenia geograficznego tego kraju.

Somali francuskie, oglądane na mapie, ma format dużego rogalka, którego oba końce otaczają zatokę Tadjoura, wcinającą się w tem miejscu głęboko w zachodnie wybrzeża Morza Czerwonego, przytykając od północy do włoskiej Erytrei, od południa zaś do angielskiego Somali.

Teren to wulkaniczny; puste, bezwodne płaskowzgórza dochodzą stopniowo do wysokości 900 metrów w pobliżu granicy Abisynji. Najwyższe wzniesienie, góra Gonda, dochodzi do 1675 metrów. Krajobraz smutny i ponury: stepy i pustynie bezwodne, wśród których tu i ówdzie błyszczą słone jeziora, jak jezioro Assal, nad którego brzegami nic absolutnie nie rośnie. Urządzone nad niem saliny stanowią poważne źródło dochodu dla francuskich władz kolonjalnych.

Wśród około 70 tysięcy mieszkańców francuskiego Somali znajduje się zaledwie kilkaset białych, skoncentrowanych głównie w europejskiej dzielnicy Dżibuti. Małe to miasteczko, liczące jakieś piętnaście tysięcy mieszkańców, nabrało w ostatnich czasach szczególnego znaczenia, jako punkt krańcowy jedynej linji kolejowej z Addis-Abeba do wybrzeży Morza Czerwonego.

Data powstania tego miasta, będącego obecnie stolicą kolonji, jest bardzo świeża, sięga bowiem roku 1888. Niewiele wcześniejsze są również i początki tej kolonji; pierwszym krokiem na tej drodze było usadowienie się Francuzów w Obok, które dziś straciło zupełnie swe pierwotne znaczenie, spadając do rangi dużej wsi, o trzystu mieszkańcach. Również i inne miasteczka, jak Tadjoura i Gabad nie zasługują właściwie na tę nazwę. Są to osady, w których mieszka po parę tysięcy kolorowych tubylców w swych „tukulach", tj. okrągłych, z gliny lepionych chatach.



Pałac gubernatora w Dżibuti.

Są jednak dwa momenty, nadające tej małej, nieproduktywnej kolonji duże znaczenie. Momenty natury politycznej:

Dżibuti leży nad Kanałem Suezkim, a więc nad jedną z najważniejszych i najżywotniejszych arteryj komunikacyjnych na całym globie. Stąd jego doniosła rola, nie pozbawiona również i znaczenia strategicznego.

Z drugiej strony na Dżibuti właśnie kieruje się cały handel, eksport i import Abisynji. Być może, iż w wyniku obecnej wojny Włosi uzyskają w Abisynji znaczniejsze wpływy ekonomiczne, że część eksportu abisyńskiego kierować się będzie na Erytreję. W każdymbądź razie Dżibuti pozostanie najbliższym portem całej wschodniej i środkowej Abisynji i stacją krańcową głównej i jedynej dotychczas linji kolejowej.

Obecnie zaś, w okresie wojny włosko-abisyńskiej, Dżibuti gości całe tłumy pośredników, kupców, handlarzy, dostawców, oraz — okrespondentów wojennych, którzy stamtąd rozsyłają na cały świat sprawozdania i korespondencje. Są zaś w tem szczęśliwem położeniu, że mogą na miejscu zbierać informacje z obydwóch frontów.

(k.)

P. OVIDIUS NASO

Filemon i Baucis

(Z „Przemian", arcydzieła łacińskiej literatury klasycznej)

Do setek chat pukając, o nocleg prosili —
Wszystkie zamknięte... tylko jedna drzwi uchyli,
Maleńka — z słomy i sitowia dach ją kryje.
Dwoje staruszków w niej, Baucis z Filemonem żyje.
W równym wieku oboje. Tu młodzieńcze lata
Złączyły ich, tu starość ich osłania chata.
Nie wstydzą się ubóstwa, więc lekka im bieda.
Nie pytaj, gdzie panowie, gdzie służby czereda:
Dwoje ich — i za panów i za służbę stanie.
Skoro przez nizkie oddrzwia, co w skromne mieszkanie
Wiodły, wchodząc schylili swe głowy niebianie,
Filemon prosi, aby spoczęli łaskawie,
Skrzętna zaś Baucis kładzie szorstki koc na ławie;
A potem ciepły popiół odgarnąwszy z pieca,
Tlący żar liśćmi, suchą wikliną roznieca,
Dmie starczym dechem, aż się płomień wzniósł do góry;
Poczem z poddasza znosi chrust i suche wióry,
Robi szczapki, wkłada je pod mały garnuszek,
Oporządza kapustę, którą jej staruszek
Przyniósł z ogrodu. On zaś grabką rozwidloną
Zdjął z odymionej belki świninę wędzoną
I odciąwszy kawałek z długo już wiszącej
Wędzonki, wrzuca go, by w wodzie skruszał wrzącej.
Tymczasem zaś rozmową skracają godziny,
Przygładzają posłanie z miękkiej, rzecznej trzciny
Na łożu, z wierzbowego sporządzonem drzewa
I kładą kapę, którą łoże się odziewa
Tylko na święto. Łoże chyba się nie zgniewa,
— Boć jest z wierzby — że stare, liche to kobierce...
Legli bogowie. Podkasanej babci serce
Drży... stół przysuwa... ach, lecz trzecia noga
Nierówna.... więc skorupkę podkłada nieboga.
Gdy w ten sposób nierówność stołu usunięto,
Zieloną go staruszka umaiła miętą.
Teraz jawią jagody się Minerwy czystej,[1])
Świeże derenie w winnej polewce przejrzystej,
Endywja[2]) i rzodkiewka, przytem serki z mleka,
Jaja, które się lekko w popiole przypieka.
Naczynia — z gliny. — z gliny. Z tegoż srebra i dzban czeka
Na gości; kubki zasię z bukowego drzewa
Wylepia wewnątrz wosku płowego polewa.
Niebawem przyszła strawa z gorącego pieca,
Poczem wino — niepóźna starość je zaleca —
Robi miejsce drugiemu daniu — toż za chwilę
Są już orzechy, figi, śliwki i daktyle,
W rozłożystych koszykach jabłuszka pachnące,
Winogrona, purpurą świeżą pałające.
Lśniący plastr miodu w środku. Wszystko zdobi twarzy
Pogoda i niekłamna szczerość gospodarzy.
Wielokroć lejąc z dzbana, widzą, że do brzega
Dzban wciąż pełny, wciąż wino do góry podbiega.
Zdrętwieli z strachu wobec cudu. Ręce wznoszą
Dłońmi ku górze[3]) i o przebaczenie proszą
Za tak skromne przyjęcie, poczęstunek lichy.
Jedyną mieli gąskę, stróżkę chaty cichej:
Tę chcieli zabić, by dać na stół boskim gościom.
Lecz gęś ma skrzydła — oni ciężcy już starością —
Więc długo przed mozolną chroniąc się pogonią,
Do stóp bogów przypadła. Ci ją zabić bronią...
— Tak, jesteśmy bogami — rzekli — i sąsiedzi
Wasi poniosą karę. Lecz was nie nawiedzi
Żadne zło... tylko dom swój opuścić musicie
I z nami iść — a potem aż na góry szczycie
Wstrzymacie się. Posłuszni, zabrawszy kostury,
Pomału wlokąc kroki, pną się wwyż, do góry.
Przestrzeń jak na rzut strzały od szczytu ich dzieli,
Gdy obróciwszy oczy, widzą, że w topieli
Bagnistej wszystko oprócz ich domostwa znika...
Zdziwienie ich ogarnia i wraz żal przenika
Nad losami sąsiadów. Wtem chata ich własna,
Dla dwojga nawet osób dotychczas przyciasna,
Zamienia się w świątynię — — — — — — —
Wówczas się syn Saturna[4]) łaskawie ozowie:
— Uczciwi, godni wzajem siebie małżonkowie,
Mówcie, czego pragniecie! Po krótkiej rozmowie
Z Baucydą mąż jej wspólne życzenie wypowie:
— Kapłanami świątyni, stróżami ołtarzy
Waszych pozostać chcemy. Jednakośmy starzy,
Niechże więc w wspólnej chwili nasz los się dokona:
Niechaj nigdy nie patrzę, gdzie jest pogrzebiona
Baucis i niechaj w grób mnie nie położy żona.
Wysłuchano ich modłów: Do śmierci zostali
Jako stróże świątyni... Aż raz, gdy zgrzybiali
Bardzo, u świętych progów swą dawną przygodę
Wspominali — spostrzegli, że z nich liście młode
Wytryskują, że zieleń pokrywa oboje...
I w chwili, gdy się pędy drzew ponad głów dwoje
Wznosiły, póki dało się, żegnania słowa
Rzucali: Bywaj zdrów kochanie! Bywaj zdrowa!
Wraz skryła zieleń usta. Dotąd chłop z Tyany[5])
Pokazuje pień w jedno z dwojga ciał splątany.

Przełożył ARTUR ĆWIKOWSKI

1) Jagody Minerwy — oliwki.
2) Szczerbak, jarzyna, z której robi się sałatkę.
3) W ten sposób modlili się starożytni Rzymianie i Grecy.
4) Jowisz.
5) Miejscowość w Kappadocji. Pomyłka ze strony Ovidiusa lub przypisywaczy, bo rzecz dzieje się we Frygii.

MAURICE DONNAY

9

Powrót z Jerozolimy

Sztuka w czterech aktach. — Przekład Marji Orzechowskiej

VOWENBERG, (arbitralnie). — Ostatecznie, pan jest tego zdania, a ja innego. Utrzymuję, że to jest w rodzaju stendhalowskim. Zresztą książka jest w dwunastem wydaniu... jak na piętnaście dni, to wcale pięknie.

MOISSAC. — Och, ten mały Sproom robi sobie wspaniałą reklamę. To bardzo po żydowsku, zresztą. Jeżeli wy coś robicie, to już wszyscy o tem wiedzą. Mieliście tylko siedmiu braci, którzy zginęli za waszą wiarę, ale to wystarczyło, abyście nazwali męczennikami wszystkich waszych nieboszczyków.

JUDYTA, (przynosząc Michałowi kawę). — O kim mówicie?

MOISSAC. — O braciach Machabejskich.

JUDYTA. — A propos czego?

MOISSAC. — A propos pani młodego przyjaciela, autora „Godzinek Sentymentalnych".

JUDYTA. — Och, to arcydzieło. Sto pierwszych stron jest napisane naprawdę na miarę wielkiego twórcy.

MOISSAC. — Oto rzecz, której nie należy mówić.

JUDYTA. — Dlaczego?

MOISSAC. — Bo możnaby myśleć, że na setnej stronie, ten młody człowiek przestał nagle umieć pisać.

(Tymczasem dr. Lurdau i Paulina zeszli na scenę. Judyta, która skończyła podawać kawę, podchodzi do nich, wraz z Anną).

JUDYTA. — Zaokupowałaś sobie doktora Lurdau, Paulino.

PAULINA. — Wcale tego nie uczyniłam. Rozmawialiśmy.

JUDYTA. — Bo trzeba panu wiedzieć doktorze, że pani Afkler jest jedną z gorących wielbicielek pana. Zna wszystko, co pan napisał... zresztą, ona zna wogóle wszystko.

LURDAU. — Tak, przyjaciółka pani jest wyjątkowo wykształcona... (Patrzy dokoła). — Bardzo ładnie urządzone, ma pani tu ładne miejsce.

ANNA, (śmiejąc się). — Ha! ha! ha!

JUDYTA. — Doktor Lurdau chciał powiedzieć: salon. Więc opuszcza pan Paryż dziś wieczór?

LURDAU. — Tak jest, ku mojemu wielkiemu żalowi.

JUDYTA. — Wraca pan do Kopenhagi?

LURDAU. — Tak, do Kopenhagi. Mam nadzieję, że jeżeli pani kiedyś przyjedzie do Danji, będę miał zaszczyt robić pani honory.

JUDYTA. — O, z pewnością... miałabym taką ochotę zwiedzić Danję... Niestety niewiele podróżuję... a takbym chciała podróżować!... Ale to przyjdzie. Kopenhaga, to ładne miasto?

LURDAU. — Ach! to nie tak wesołe miasto, jak Paryż.

JUDYTA. — Pan lubi Paryż?

LURDAU. — Ogromnie.... to takie miłe miasto, naprawdę!

ANNA. — Szczególnie o tym czasie... nie znam nic cudowniejszego, jak Paryż w maju.

LURDAU. Ach! Cudowny! cudowny! A pozatem Paryżanki, to kobiety takie urocze, takie pociągające. One mają tak wiele swobody w miłości. Zresztą u was wszystko jest dla miłości. Wasza lieratura mówi o miłości, cały wasz teatr przedstawia miłość.

ANNA. — Tak, tak...

LURDAU. — Ale trzeba, żeby Pani przyjechała do Kopenhagi... zapoznam panią z moim siostrzeńcem. Erykiem Lurdau... będzie chciał Panią portretować: to największy malarz Skandynawji.

JUDYTA. — A propos portretu, muszę panu pokazać coś cudownego: portrety kobiece, serja dwunasta akwafort Williama Dortha, który mi je właśnie przysłał. Zna pan Wiliama Dortha?

LURDAU. — Nie.

JUDYTA. — Jakto? Nie zna pan Williama Dortha? To najsławniejszy malarz angielski.

(Prowadzi Doktora, Paulinę, Annę do małego stołu, na którym leży duża teka. Przechodząc obok grupy mężczyzn mówi do nich: — Chodźcie zobaczyć coś ładnego, zamiast prawdopodobnie mówić głupstwa).

(Moissac, Vowenberg, Afkler stają dokoła teki. Michał i Trévières zostają).

TREVIERES. — Mam do pana prośbę, panie Aubier.

MICHAŁ. — O co chodzi, mój Trevières?

TREVIERES. Pan zna Sagelier'a?

MICHAŁ. — Znam.

TREVIERES. — Czy panu wiadomo, że on jest w nowej kombinacji ministerjalnej?

MICHAŁ. — Tak, tak, wiem... no i..

TREVIERES. — A więc jeśli będzie mianowany, a będzie nim, chciałbym, by mnie przyjął do swego ministerstwa. W jakich stosunkach jest pan z nim?

MICHAŁ. — W bardzo dobrych.

TREVIERES. — Widuje go pan często?

MICHAŁ. — Owszem, dosyć często?

TREVIERES. — Polecenie pańskie u niego, byłoby bardzo skuteczne.

MICHAŁ. — No chyba! Byłem z nim w liceum, uczyliśmy się razem i pozostaliśmy przyjaciółmi. Mamy wspólne wspomnienia, napewno silniejsze, od rozbieżności naszych przekonań politycznych.

TREVIERES. — W takim razie, byłby pan łaskaw z nim pomówić?

MICHAŁ. — Może pan na mnie liczyć. Ale dlaczego pan chce być przydzielony do ministerstwa Sagelier'a?

TREVIERES. — Ja to panu wytłumaczę. Mam 25 lat...

MICHAŁ. — I nie ma pan zamiaru jeszcze umierać.

TREVIERES. — Nie... Doszedłem do punktu zwrotnego w mojem życiu.. (Prowadzą dalej rozmowę).

JUDYTA. — Prawda, że to zachwycające!

(Wuj Emil, który czytał Oreopanaxa miesza się z grupą, koło akwafort).

WUJ EMIL. — Co jest takie zachwycające?

JUDYTA? — Te akwaforty Williama Dortha... to są cuda...

ANNA, (podając mu jedną z akwafort). — Spójrz, to portret Judyty.

WUJ EMIL, (do Judyty). — To ma pretensję być panią?

JUDYTA. — Tak, to ja.

WUJ EMIL. — Nie byłbym poznał, że to pani.

JUDYTA. — To nie fotografja... to nawet nie jest, prawdę mówiąc portret, to interpreacja.

WUJ EMIL. — On tu panią interpretuje, jako topielicę.

JUDYTA. — Nic się pan na tem nie rozumie.

WUJ EMIL. — Na serjo, uważa to pani za udane?

JUDYTA. — Powiadam panu: za zachwycające!

AFKLER. — Ja uważam, że pani doskonale utrafiona... ten wykrój ust, tajemniczość spojrzenia...

PAULINA. — Tak, i to coś nieskończonego, co błądzi wskróś absolutu.

MOISSAC. — Ciekawe! Właśnie chciałem to samo powiedzieć.

PAULINA. — A pozatem uważam, że William Dorth ma wizję tak odrębną... To co tworzy jest syntezą tak zdecydowaną. Ach! To niepokojący artyzm!

WUJ EMIL. — Niepokojący dla niego.

(Odchodzi w stronę Michała i Trévières'a, mrucząc i wzruszając ramionami).

JUDYTA, (gdy się nieco oddalił). — A to stary dureń!

MOISSAC. — Ma rację, mówi, co myśli.

JUDYTA. — Kiedy on nie myśli.

MOISSAC. — A więc to tak, jakby nic nie mówił.

JUDYTA. — Proszę sobie wyobrazić, przeczytał mi kiedyś swój dramat; dramat historyczny, pisany wierszem. Idjotyzm... niżej wszelkiej krytyki. A pozatem, uważam, że jest nieznośny, ze swoją manją czynienia porównań. Kiedy wstaje od stołu jest stale czerwony... pije zadużo wina... nie cierpię go.

MOISSAC. — Nie trzeba go nie cierpieć; robi porównania, pisze dramaty historyczne, lubi wino, nie istnieje dla niego nic piękniejszego nad kobietę; to wszystko razem składa się na pewną, harmonijną całość.

JUDYTA. — Przedewszystkiem, to człowiek, któremu się w życiu nie powiodło. Ja lubię zwycięzców.

MOISSAC. — To jednak typ, proszę mi wierzyć.

(Milczenie).

VOWENBERG. — Judyto, czy mógłbym pani powiedzieć słówko?

JUDYTA. — Ale oczywiście.

(Wszyscy się oddalają dyskretnie. Zostają sami).

VOWENBERG. — Czy pani wiadomo, że się tworzy nowy rząd i że prawdopodobnie wejdzie do niego Sagelier?

JUDYTA. — Tak.... i o co chodzi?

VOWENBERG. — Chciałbym być przyjęty do jego ministerstwa. Czy dzisiaj zobaczy się pani z Hoendelsohnem?

JUDYTA. — Ma być u mnie koło czwartej.

VOWENBERG. — A więc niech pani z nim pomówi serjo... niech mu pani powie... trzeba koniecznie, żeby się to stało... Nie potrzebuję pani mówić dlaczego. Sagelier niczego nie odmówi Hoendelssohnowi, więc jeśli zechce być upartym...

JUDYTA. — Niech pan będzie spokojny, zechce.

VOWENBERG. — Wobec zapewnionego poparcia Hoendelssohna jestem spokojny... Michał rzuca w naszą stronę niespokojne spojrzenia... jest przekonany, że się do pani zalecam. Coprawda, nigdy pani nie nadskakiwałem.

JUDYTA. — No, ale pan ma tupet.

VOWENBERG. — Chcę powiedzieć, że nigdy nie ubierałem w przestarzałe komunały, wielkiego pociągu, jaki odczuwam do pani małej, drogiej osóbki.

JUDYTA. — Trzeba panu oddać tę sprawiedliwość; odnosił się pan do mnie zawsze z najbezwzględniejszą brutalnością.

VOWENBERG. — A pani, pani mnie stale odtrącała z najbezwzględniejszem okrucieństwem. O, wiem ja, kogo pani kocha.

JUDYTA. — Ciekawam?

VOWENBERG. — Pani kocha Hoendelssohna.

JUDYTA, (śmiejąc się). — Ha! ha! ha!

VOWENBERG. — Nieszczerze się pani śmieje. Saul jest flirtem, jest pani love. Nie twierdzę, że pani jest jego kochanką...

JUDYTA. — To bardzo szczęśliwie.

VOWENBERG. — Jeszcze nie, ale pani nią będzie.

JUDYTA — Jakóbie, powinnabym pana wyrzucić za drzwi, żeby pana oduczyć takiego gadania: ale wolę się bawić pańską ordynarnością, niż się za nią obrażać.

VOWENBERG. (szarmancko). — Pani ubóstwia moją ordynarność, ona łaskocze duszę pani.

JUDYTA. — To prawda, jak zła wódka łaskocze gardło.

VOWENBERG. — A więc idę dalej: w dniu, w którym pani zostanie kochanką Saula, będę bardzo cierpiał.

JUDYTA. — Pan? (śmieje się).

VOWENBERG. — Tak, ja... będę się wściekał, napewno, ale będę miał satysfakcję, widząc Michała rogaczem.

JUDYTA. — Będzie pan cicho wreszcie!.... takie słowa budzą we mnie wstręt; rzeczywiście, ma pan cudowne serce.

VOWENBERG. — Michał mnie nie cierpi... nie może mnie znieść.

JUDYTA. — Robi pan w tym celu wszystko, co możliwe. Naprzykład przed chwilą nie omieszkał mu pan oznajmić, że jego żona wychodzi zamąż.

VOWENBERG. — Co mu to może szkodzić, skoro ją porzucił?

JUDYTA. — Mimo wszystko, to była gafa.

VOWENBERG. — Sądzi pani?

JUDYTA. — Sądzę... i pan także... To najgorsza z gaf... gafa świadoma.

VOWENBERG. — A więc tak jest, zrobiłem to umyślnie... mam jeden z moich dobrych dni. Czuję się zaczepnym, w miarę agresywnym, w dobrej formie... Odkrywam w sobie Uebermenscha, pełnego radosnej złośliwości.

PAULINA, (nadchodząc). — Judyto, chodź nam jedną rzecz wytłumaczyć.

(Przystępują znowu ku dr. Lurdau, który jest w trakcie oglądania czegoś, w rodzaju hełmu).

LURDAU. — Właśnie oglądam ten przedmiot. Czy mogę zapytać, do czego służy?

JUDYTA. — To hełm telefoniczny.

LURDAU. — Hełm telefoniczny? To nadzwyczajne! bardzo oryginalne. Pani to naprawdę wkłada na głowę?

JUDYTA. — Ależ tak. Kiedy mam ochotę posłuchać Opery, lub Opery Komicznej, załączam słuchawki do tych płyt, bo trzymanie ich w ten sposób jest męczące... (Wykonuje ruch osoby, słuchającej przy telefonie). — Zasiadam w fotelu i słucham.

LURDAU. — Niesłychane!

JUDYTA. — Wczoraj używałam go pierwszy raz; słyszałam „Pelleasa i Melisandę". To było porywające.

LURDAU. — Proszę to włożyć na głowę.

JUDYTA. — Oto jest.

(Wkłada hełm i siada w fotelu z rzeźbionego drzewa).

PAULINA. — Całkiem ci w tem do twarzy... wyglądasz na jakiegoś Gustawa Moreau... prawda, Narcyzie?

AFKLER. — Tak... Księżniczka przy telefonie.

ANNA. — Powinnaś się tak dać portretować, Judyto.

MOISSAC. — Bardzo ładnie: ten hełm, zdobny w drogie kamienie, te lekkie zielone nitki, łączące panią z zaczarowanym światem muzyki... ma to w sobie coś dalekiego i bezpośredniego, chimerycznego i praktycznego jednocześnie.

VOWENBERG. — To sfinksowe, druidyczne, a mimo wszystko, takie paryskie!

MOISSAC. — Aubier, to cię nie zachęca do sprawienia sobie także takiego hełmu?

MICHAŁ. — O nie, ja nie podzielam tych orjentalnych fantazyj.

(c. d. n.)

ŚWIAT KOBIECY

Ploteczki o modzie

— Kolor czarny, zawsze najpraktyczniejszy, jest obecnie i najmodniejszym. Z reguły jednak służy on za zasadnicze tło, na którem żywo odbijają rozmaite barwne, a niezbędne przybrania, czy to będą manszety, krawat, żabot, pasek, — czy kapelusz, torebka lub rękawiczki.

Do przybrania służą najczęściej kolory zielony, purpurowy i jasnobronzowy.

— Wieczorem natomiast dominuje kolor biały w licznych delikatnych odcieniach (perłowy, kość słoniowa, zielonkawy). Z bielą tą kontrastują jaskrawe czerwone lub zielone przybrania i ozdoby: kwiaty, kokardy, paski, szale.

— Wszystkie suknie wieczorowe są suto drapowane.

— Woalki są zupełnie sztywne. Nie dotykają całkiem twarzy. Upięte na maleńkim, a dziś specjalnie modnym toczku, tworzą rodzaj „aureoli" ponad czołem.

— Najnowsza biżuterja jest bardzo masywna, dlatego nosi się ją w ograniczonej ilości. Ogromnie szerokie branzolety, lub złote łańcuchy — naturalnie o pustych ogniwach, — które opasują dwukrotnie szyję.

— Zachwycająco poprostu wyglądają najnowsze modele paryskie pantofelków wieczorowych: zamiast gużiczków czy sznurowadeł zapinane są one na delikatne złote łańcuszki. Obcasy niskie, kwadratowe, — również złote.

— Najmodniejszem i najpraktyczniejszem okryciem zimowem są płaszcze trzy ćwierci długości z futra foki, nutrji, lub bobra.

— Coraz więcej widzi się kamizelek futrzanych, — przyczem ślicznie wygląda taka kamizelka z miękkiego białego futerka przy czarnej sukni. Niektóre kamizelki mają krój prawie zupełnie męski, z czterema kieszonkami.

— Rękawiczki stały się obecnie ważnym szczegółem w toalecie eleganckiej kobiety. Przy kostjumach sportowych — rękawiczki kolorowe, w dyskretnych, ciepłych barwach, — przyczem kolory te, jakkolwiek kontrastowe, muszą być odpowiednio i ze smakiem dobrane do całości stroju.

Obok tego — rękawiczki dwukolorowe. Pod spodem skórkowe, czarna, na wierzchu futrzana. Z reguły spód powinien być z tego samego materjału co okrycie, wierzch zaś z takiego futerka, jakiem okrycie to jest przybrane. Można też do żółtych skórkowych rękawiczek dodać szeroki manszet obramowany futerkiem.

Kącik kosmetyczny

Mówiliśmy w zeszłym tygodniu o tych „niewolnicach mody", głodzących się dobrowolnie, celem uzyskania przepisowej wagi i „dobrej linji". Zaznaczyliśmy, że w normalnych warunkach sporty, kąpiele, masaż, gimnastyka, — wystarczą zupełnie dla osiągnięcia i utrzymania smukłej sylwetki.

Jak jednak poradzić sobie z nadmierną otyłością, zarówno uciążliwą, jak niezdrową, bo działającą szkodliwie na serce i układ krwionośny? O ile jest ona następstwem jakiejś wady organicznej, — głos zabierać może tylko lekarz.

Jakże często jednak otyłość ta przychodzi niemal niespostrzeżenie, skutkiem nieodpowiedniego trybu życia (za mało ruchu!) i zwykłego łakomstwa, czy nawet... obżarstwa!

Toteż każda kuracja odtłuszczająca jest w takich wypadkach pewnego rodzaju próbą samodyscypliny. Organizm, przyzwyczajony do dużej ilości pokarmów, niełatwo i nie odrazu pogodzi się z konieczną djetą. Ale pocieszmy się, że djeta taka nie jest znowu ani zanadto surową, ani przykrą i trudną do zniesienia.

Naturalnie trzeba się wyrzec zupełnie wszelkich słodyczy, legumin, ograniczyć do minimum spożywanie tłuszczów. Pozostają nam jednak wszystkie jarzyny, owoce, — a dalej mięso i jaja, które dzięki dużej zawartości białka powodują nawet energiczną przemianę materji.

Ważną jest również rzeczą ograniczenie ilości pobieranych płynów: można wyrzec się zupełnie zupy, a podczas jedzenia nie powinno się wogóle pić (nie mówiąc już o piwie!).

Przy energiczniejszej djecie odtłuszczającej doskonałe wyniki daje jeden dzień „owocowy" lub „mleczny" w tygodniu. W dniu tym za całe pożywienie służy nam 1 litr mleka, albo 1 kg. owoców.

Tyle co do djety.

Równolegle z tem idą codzienne ćwiczenia gimnastyczne (conajmniej pół godziny!) oraz kąpiele. Po kąpieli — energiczne nacieranie całego ciała roztworem wody i spirytusu kamforowego.

Bardzo wskazanem jest dalej masowanie całego ciała co 2—3 dni z pomocą oliwy. — aby tkanki zachowały swą elastyczność, a skóra zachowała świeży, młodociany wygląd.

Jeżeli zaś taka kuracja odtłuszczająca wywołuje znaczniejsze osłabienie, zniechęcenie, zdeprymowanie. — wówczas polecamy doskonały, a tani środek wzmacniający: wątrobę wołową, którą jeść należy 3—4 razy na tydzień — ewentualnie na zmianę z befsztykiem, napół surowym. Od tego się nie utyje....

Żurawiny

Jagody te mało są stosunkowo u nas znane, a zasługiwałyby na szersze rozpowszechnienie, zwłaszcza we formie doskonałych soków lub galaretek.

Obecnie właśnie najlepszy czas do ich sporządzania, kiedy jagody są lekko przemarznięte.

Soki żórawinowe są w kuchni wręcz nieocenione; zastępują one z powodzeniem cytrynę jako dodatek do herbaty; można ich też użyć do rozmaitych legumin, kompotów i t. p.

Sok żórawinowy bez cukru robi się w następujący sposób:

Przemarznięte jagody wyciska się pod prasą, a uzyskany sok pozostawia się przez dobę w otwartem naczyniu. aby się wyklarował. Następnie zlewać do butelek, szczelnie zakorkować i przechowywać w suchem miejscu.

Chcąc mieć słodki sok, postępujemy w sposób następujący:

Przemarznięte jagody zalewamy zupełnie wodą i stawiamy na blachę. Skoro się woda zagotuje, trzymać na ogniu przez dziesięć minut, poczem odstawić i przecedzić przez płótno. Na każdy litr otrzymanego w ten sposób soku dajemy 80 dkg. cukru, pozwalając mu się trzy razy zagotować, przyczem po każdem zagotowaniu należy garnek odstawić z ognia.

Kiedy sok zupełnie wystygnie, zlewamy go do butelek i szczelnie korkujemy.

Można też sporządzić ten sok i w inny sposób: przemarznięte jagody wstawia się w garnku do pieca na sześć godzin, aby dobrze puściły sok; następnie wysypać na gęste sito, aby ociekły do reszty.

Na każdy litr soku daje się syrop z 1 kg. cukru. Cukier zalewa się dwiema szklankami wody i gotuje starannie szumując. Kiedy się zacznie perlić, wlewa się do syropu sok żórawinowy i gotuje przez dalsze dziesięć minut. Po wystudzeniu zlewać do butelek.

Poradnik dla gosposi

ZUPA ZE ŚWIEŻEGO GROCHU

Dwie kwarty wyłuskanego grochu wrzucić na posolony ukrop, zagotować, odcedzić, żeby cierpkość odeszła, nalać letnią, czystą wodą i gotować do miękkości z włoszczyzną. Potem przetrzeć przez sito, miazgę rozprowadzić smakiem, w którym się groch gotował. Usmażyć w maśle troche usiekanej włoszczyzny, dodać łyżkę stołową mąki, zagotować razem z zupą i podawać z grzankami smażonemi w maśle.

PIEROGI LENIWE

Łyżkę masła i cztery żółtka utrzeć w misce na pianę, funt świeżego twarogu zetrzeć na tarce, przetasować przez sito, posolić i wymieszawszy z masłem i jajami, utrzeć do gładkości. Ubić pianę z pozostałych białek, dać do sera, wsypać dwie łyżki mąki, wymieszać lekko, wyrzucić na stolnicę wysypaną mąka, urobić długie dwa wałki, spłaszczyć je trochę, nakarbować w kratkę nożem i krajać ukośne pierożki. Gotować przed samem podaniem w kipiącej wodzie 15 minut, wyjmować ostrożnie durszlakową łyżką, układać na półmisku i polać obficie masłem z rumianą bułeczka.

BEFSZTYK Z POLĘDWICY

Ładny, nietłusty kawałek polędwicy ze środka pokrajać na plastry mniej więcej na palec grube. Z jednego kilograma mięsa powinno wyjść 9—10 krążków. Żeby zachowały piękną formę, przepasujemy każdy kawałek obręczą z grubej bawełny, natrzeć solą, skropić cytryną i posmarować dość grubo masłem, niech tak poleżą godzinę Smażyć na rozpalonem maśle stroną posmarowaną do góry, odwrócić, gdy się dobrze zrumienią, kiedy się z obu stron usmażą, wlać na patelnię dwie łyżki wody, zagotować, układać na półmisku, przesypując siekaną, zieloną pietruszką. Jeżeli kto lubi befsztyki z cebulką, należy cebulkę, pokrajaną w plasterki lub posiekaną usmażyć osobno w maśle

Pod znakiem bluzki

Jest rzeczą zrozumiałą, że w dzisiejszych kryzysowych czasach bluzka wraca do łaski, a nawet już prawie króluje. Nosi się ją od wczesnego rana do późnego wieczora, a wielkie magazyny zarówno paryskie, jak i nasze przynoszą ustawicznie coraz to nowe modele bluzek, przyznać trzeba, bardzo ładne i oryginalne. a dostosowane do każdej okoliczności.

Rano — skromna bluzeczka wełniana, z nakładanemi kieszeniami i niskim wykładanym kołnierzem, zapinana na jeden rząd guzików; do tego szeroki skórzany pasek.

Popołudniu bluzka strojniejsza, z crepe de chine, jedwabiu, crepe marocain, przybrana żabotem koronkowym; rękawy bardzo szerokie, bufiaste.

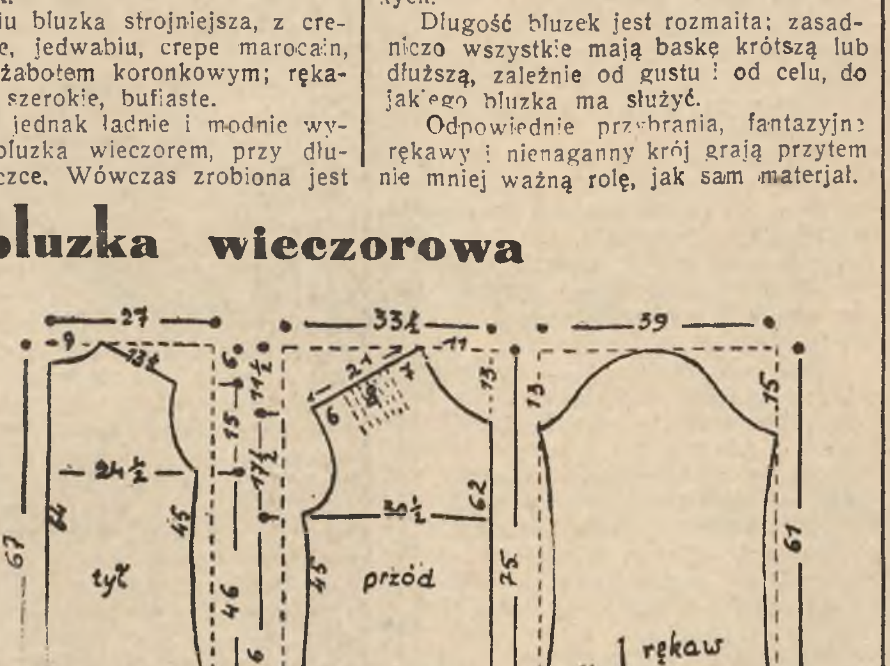
Zupełnie jednak ładnie i modnie wygląda też bluzka wieczorem, przy długiej spodniczce. Wówczas zrobiona jest ona albo ze lśniącej lamy, albo z crepe satin, lub wreszcie z koronek, obecnie ze szczególnem upodobaniem stosowanych.

Długość bluzek jest rozmaita; zasadniczo wszystkie mają baskę krótszą lub dłuższą, zależnie od gustu i od celu, do jakiego bluzka ma służyć.

Odpowiednie przybrania, fantazyjne rękawy i nienaganny krój grają przytem nie mniej ważną rolę, jak sam materjał.

Strojna bluzka wieczorowa





Można ją zrobić zarówno z lamy złotej lub srebrnej, jak z aksamitu czy crepe satin, lub nawet z koronki. Potrzeba na nią 2.75 mtr. materjału, szerokości 1 mtr.

Na rysunku podajemy dwa modele: z lewej strony bluzka z lamy o krótkiej zupełnie baskinie, sprzodu zaokrąglonej, przepasana szerokim paskiem, opadającym na spódniczkę. Z prawej aksamitna bluzka do wieczorowego kostiumu tailleur; baskina krótka, zapinany z boku.

Z ołówkiem w ręku...

W związku z nastąpić mającą z dniem 1 bm. obniżką płac, a w ślad za tem i zamierzoną przez rząd, a częściowo już wprowadzoną w życie obniżką kosztów utrzymania (przez zniżenie czynszów, ceny węgla, prądu elektrycznego itd.) — pojawiły się w kilku dziennikach artykuły, domagające się obniżenia również i abonamentu radjowego.

Zamieściliśmy i my również artykuł podobnej treści, nadesłany nam z kół radjoabonentów. I jakkolwiek wysunięte w nim postulaty są niewątpliwie słuszne i racjonalne z punktu widzenia przeciętnego radjosłuchacza, — to jednak kwestja obniżki abonamentu jest w rzeczywistości zagadnieniem dość skomplikowanem, wymagającem wszechstronnego naświetlenia.

* * *

Liczba radjoabonentów w Polsce przekroczyła 400 tysięcy. Piękny to bezwątpienia sukces, osiągnięty w ciągu ostatniego roku! Ale nie zmienia to — niestety! — faktu, że w stosunku do liczby ludności stoimy i nadal wradjofonji — już nie światowej, ale europejskiej — na szarym końcu.

Znacznie w tyle nawet poza Węgrami i Finlandją, gdzie na każde tysiąc mieszkańców wypada 38 abonentów, — wobec *dwunastu* w Polsce. A o ile idzie o naszego najbliższego sąsiada, Czechosłowację, — to przy 15-miljonowej ludności liczy ona zgórą 750 tysięcy radjoabonentów, czyli pięćdziesięciu na każdy tysiąc!

Nie będziemy szukać porównań dalej, choćby w Niemczech, Francji, Anglji lub Italji. Jeżeli jednak przypominamy te, znane już szczegóły, — to dlatego, że na tej podstawie możemy sobie dopiero uprzytomnić w jak trudnych i ciężkich warunkach pracuje radjofonja polska.

Stawiamy jej bardzo wygórowane żądania. Chcielibyśmy, aby radjofonja nasza zarówno pod względem poziomu audycyj, jak i co do strony technicznej dorównywała radjofonjom zachodniej i środkowej Europy. Wymaga tego zresztą i nasz prestige mocarstwowy, — bo przecież audycje te płyną na falach eteru w szeroki świat, nawet na drugą półkulę. Niewątpliwie jest to też szczerem życzeniem i dążeniem sfer kierujących, doceniających należycie olbrzymie znaczenie radja jako idealnego instrumentu propagandy — i to propagandy najszlachetniejszej, pokojowej, kulturalnej.

A jakże nam jeszcze daleko do tego ideału! Ileż skarg, utyskiwań, krytyk, nieraz zupełnie zresztą słusznych! Łatwo o krytykę, kiedy się siedzi w zacisznym pokoju, przy głośniku. Ale spróbujmy zajrzeć za kulisy tej pracy...

* * *

Londyński B. B. C. ma swój własny, wspaniały gmach, wyposażony we wszelkie, najbardziej nowoczesne urządzenia. Nie ustępuje mu w niczem olbrzymi gmach berlińskiego radja, ani centralna siedziba radja włoskiego w Rzymie wraz ze swą znakomicie wyposażoną stacją kontrolną.

Rozbudowała wspaniale swą radjofonję Francja, dzięki energji i inicjatywie obecnego ministra Mandel'a. We wszystkich tych krajach pracują potężne radjostacje, o sile przeciętnej od 50 KW. wgórę.

A u nas? Oto warszawska centrala gnieździ się w kilku kamienicach czynszowych, rozrzuconych w różnych punktach stolicy. Taksamo i studja (ogółem zaledwie pięć). W tych warunkach jest rzeczą wręcz niemożliwą przeprowadzić wszystkie konieczne ulepszenia i udoskonalenia techniczne. Cierpi na tem strona techniczna audycyj, cierpi cały tok normalnych czynności.

Czyż można np. wyobrazić sobie nowocześnie urządzoną centralę telefoniczną, telegraficzną, lub pocztową w zwykłym budynku czynszowym, nie adaptowanym odpowiednio do tych celów? A przecież radjo potrzebuje własnego gmachu jeszcze chyba więcej, niż telegraf lub telefon, — mając znacznie obszerniejszy zakres działania i niesłychanie skomplikowany aparat, ze studjami, orkiestrą, chórami, prelegentami itp.

Zatem — własny Gmach Radja w Warszawie, — to konieczność, nie dająca się dłużej odraczać. To pierwszy najważniejszy krok na drodze dalszego rozwoju radjofonji polskiej.

Dopiero mając własny gmach radja możemy stanąć do światowej konkurencji.

* * *

Nie koniec jednak na tem. Trzebaby zajrzeć do rozgłośni prowincjonalnych, aby zdać sobie sprawę, w jakich warunkach one pracują. Wszystkie bez wyjątku w wynajętych lokalach z reguły prawie ciasnych i zupełnie się do tego celu nie nadających. Rozgłośnia lwowska jeszcze pod tym względem nie stoi najgorzej. O krakowskiej czytaliśmy niedawno, że wreszcie zdołała znaleźć odpowiedniejsze pomieszczenie.

Ale weźmy choćby taką Łódź — po stolicy największe miasto w Polsce. Cała — jakże slabiutka zresztą — stacja mieściła się dotychczas w dwóch małych pokojach! Świeżo dopiero bawił w Łodzi naczelny dyrektor P. R. p. Roman Starzyński — i po zbadaniu rozgłośni łódzkiej zapowiedział wydatną rozbudowę całej stacji, Sprawa rze czywiście pilna i ważna!

Druga — niemniej ważna rzecz, — to wydatne powiększenie mocy poszczególnych radjostacyj. Upominają się o to oddawna sami radjosłuchacze w kraju i zagranicą. Gdzie spojrzeć, na wschód czy zachód, czy na południe, — wszędzie otaczają nasz kraj potężne radjostacje obce, o sile 50 KW i dużo większej. W tym wyścigu nie możemy dać się zdystansować!

Pierwszem ważnem posunięciem w tej dziedzinie jest postanowione już powiększenie mocy radjostacji lwowskiej do 50 KW. A gdzie Łódź, gdzie Kraków, gdzie Wilno?

Wszystko to są postulaty, czekające na zrealizowanie w bardzo niedalekiej przyszłości. Postulaty pierwszorzędnej wagi, decydujące o dalszym, normalnym rozwoju naszej radjofonji.

* * *

Ale to wszystko wymaga wkładów pieniężnych, i to wkładów miljonowych. Mówi się lekko: radjoabonenci wnoszą do kasy P. R. jakieś 1,200.000 złotych miesięcznie. Suma olbrzymia. Jakaż inna instytucja, czy przedsiębiorstwo może pochwalić się podobnym stałym dochodem?

Czy jednak jest jakaś druga instytucja, któraby miała równie wysokie miesięczne wydatki? Począwszy od wysokich czynszów dzierżawnych, od niesłychanie kosztownej aparatury technicznej i licznego personelu, — aż do opłacania orkiestry, chórów, prelegentów, speakerów? Czy jest przedsiębiorstwo, które — poza normalnemi wydatkami na personel — musiałoby dosłownie każdą minutę w ciągu 10—12 godzin dnia honorować — i to dobrze honorować! — zarówno w swje centrali jak i we wszystkich prowincjonalnych oddziałach?

A przecież od radja wymagamy bardzo dużo. Chcemy, by pod względem technicznym i programowym nie ustępowało ono radjofonji niemieckiej francuskiej, czy choćby czechosłowackiej.

Nie zdajemy sobie sprawy, że taka np. rozbudowa radjostacji lwowskiej, — to wydatek miljonowy — i że podobnych wydatków jest i będzie coraz więcej. A z czego je pokrywać? Oczywiście tylko i wyłącznie z trzyzłotowych abonamentów.

Czy abonamenty te w innych krajach są niższe? Chyba nie. We Francji np. wynosi abonament 50 franków rocznie, we Włoszech 80 lirów, w Niemczech dwie marki (czyli ponad 4 zł) miesięcznie. Jest jednak jedna wielka różnica. Weźmy choćby Niemcy: tam liczba radjoabonentów przekroczyła 6 i pół miljona! Zatem dochód brutto niemieckiego radja wynosi zgórą 26 miljonów zł miesięcznie, czyli dwadzieścia dwa razy więcej niż u nas. Radjo francuskie ma ponad sto miljonów franków dochodu brutto rocznie!

Zestawiwszy te cyfry, tylko dziwić się wypadnie, że radjofonja polska i programowo i technicznie wytrzymuje konkurencję z radjofonją tamtych krajów. I zrozumiemy wówczas, że w obecnych warunkach obniżenie abonamentu do kwoty 1 zł miesięcznie równałoby się zupełnemu zahamowaniu dalszego rozwoju radjofonji polskiej. A tego chyba nikt sobie życzyć nie może.

Jeżeli więc — i słusznie zresztą — dopominamy się o dalsze udoskonalenie naszego radja w każdym kierunku, o powiększenie mocy poszczególnych radjostacyj, by dotrzymać kroku naszym sąsiadom, — to powiedzmy sobie szczerze i uczciwie, że, obecnie przynajmniej, postulat wydatnej obniżki abonamentu jest zupełnie nieaktualny.

Trzeba z tem poczekać, — w naszym własnym interesie, — aż stanie w Warszawie gmach radja, aż rozbudowane zostaną wszystkie rozgłośnie. Chyba.. gdyby liczba radjoabonentów wzrosła przynajmniej do miljona. Nie byłoby to jeszcze zbyt wiele, w stosunku do liczby ludności, — ale... zrównalibyśmy się może z Finlandją i Węgrami.

(LUCY)

Dziecinny kącik radjowy

Bardzo często i w wielu miejscach spotykamy się z dyskusjami, odczytami, artykułami na tematy związane z dzieckiem, z jego wychowaniem, wykształceniem, zabawami, zdrowiem i tysiącem innych spraw dotyczących tych najmniejszych obywateli. Zjawisko to jest bardzo korzystne, bo im więcej jednostek wypowiada się w jakiejś sprawie, tem gruntowniej jest ona przetrząśnięta i naświetlona, tem łatwiej można się zorjentować, gdzie leży jądro słuszności. Terenem, na którym dziecięcym zagadnieniom poświęca się **dużo uwagi**, jest radjo; poza kształceniem rodziców i wychowawców na ludzi rozumiejących psychikę dziecięcą i umiejących odpowiednio postępować ze swemi pociechami, radjo swemi audycjami wpływa bezpośrednio i czynnie na młodych i najmłodszych radjosłuchaczy.

Audycje takie mają parę zasadniczych schematów; najgłówniejszy, najczęściej używany, to — słuchowisko. Są również pogadanki, opowiadania, obrazki, transmisje z poza studja, audycje wesołe, a wszystko to odpowiednio dostosowane do smaku i wyobraźni małych odbiorców.

Dziś omówię trzy — **najzupełniej różne** — audycje, przeznaczone dla dzieci: **„Podwórzaki"** lwowskie słuchowisko, — **„Chcemy być dzielnymi ludźmi"** transmisję z wileńskiego zakładu dla głuchoniemych i warszawskie opowiadanie **„O małem dziecku"**. Treścią pierwszego słuchowiska są dzieje trójki dzieci-śpiewaków podwórzowych, żyjących z dnia na dzień, rzucanemi przez litościwe dusze grosikami. Mimo całej swej nędzy, niedoli i ciężkiego losu, niesprzyjającego rozwijaniu się lepszych uczuć, dzieci te w stosownej chwili umią odpowiedzieć sercem — na serce. Idea bardzo piękna i wzbudzająca szczery oddźwięk w łatwo się wzruszających umysłach dziecięcych. Realizacja tego słuchowiska wiernie odtworzyła treść, dając pełnię wrażeń radjowych. Głos starszego chłopaka-opiekuna oraz dziewczynki, dobrane były dobrze, natomiast mniej z niemi harmonizował głos artysty grającego najmniejszego chłopca; barwa jego głosu była zbyt **poważna**. Zestawienie głosów w słuchowisku radjowem to jedna z rzeczy podstawowych, zwłaszcza dobór głosów dziecinnych. Doskonale rozwiązała ten problem rozgłośnia poznańska, organizując zespół dziecięcy, wykonujący audycje dla dzieci. Osobiście uważam, że najlepiej używać do tego rodzaju przedstawień zespołów mieszanych, jak już zresztą robiła to rozgłośnia lwowska w audycjach dla dzieci. Kto wie, czy i w tem słuchowisku oddanie roli najmłodszego bohatera — dziecku, nie dałoby lepszego efektu.

Pod ogólną nazwą „Chcemy być dzielnymi ludźmi" Wilno nadaje dla dzieci audycje i transmisje, ilustrujące pewien zawód (np. listonosza) lub warunki, w jakich inni dobijają się chleba i stanowiska. Ostatnia transmisja z Zakładu dla głuchoniemych była próbką, czego **nie należy** dzieciom przedstawiać. Jako transmisja dla starszych audycja ta byłaby zupełnie na miejscu, gdyż obrazowała ona owocne, a ciężkie wysiłki i prace nad uczeniem głuchoniemych dzieci trudnej sztuki mówienia; rezultaty tej pracy są — jak mogliśmy przekonać się na własne uszy — zdumiewające i wywołujące pełne uznanie. Lecz audycja ta stanowczo **nie nadawała** się dla dzieci, które nie rozumiejąc tego, nie mogą ocenić, że ktoś, kto urodził się głuchy i niemy, — mówi. I jeszcze inny, znacznie ważniejszy powód przemawiał za tem, by audycji tej nie przeznaczać dla dzieci: mowa głuchoniemych, wywodząca się z nieartykułowanego bełkotu, sprawia — nawet dla starszych — **niezbyt miłe** wrażenie. Jest nieskładna, urywana, charcząca i rabana, a te jej cechy głośnik wzmocnił i uwydatnił. Na dzieciach normalnych, nie zdających sobie sprawy z istoty tej audycji, wywarło to chyba jak najgorsze i całkiem chybione wrażenie. O tem nie pomyśleli organizatorzy tej audycji.

Natomiast znowu pod każdym względem udało się **Staremu Doktorowi** jego opowiadanie **„O małem dziecku"**. Jest to prelegent, znający psychikę dziecka, jak nikt drugi, dlatego nietrudno mu przemawiać tak, by go ono rozumiało. Audycje Starego Doktora, są czemś zupełnie wyjątkowem i — bliskiem.

Słów jeszcze parę o audycjach innych. Nadany przez rozgłośnię lwowską szkic literacki J. Rudnickiego p. t. „Najdawniejszy słowiański epos rycerski i jego przekłady polskie" grzeszył przesadną erudycją i przeładowaniem. A nie można temu zaprzeczyć, że sam temat był bardzo ciekawy i godzien lepszego opracowania i — wygłoszenia. Również porównawcze cytowanie przekładów — z wyjątkiem polskiego — było tylko zbytecznem obciążaniem słuchaczy, dla których nie miało poza tem żadnego innego znaczenia: jeśli się nie ma tekstów przed oczyma, **nie można** ich ze sobą porównywać.

Wielu słuchaczy, dla których odbicie wsi polskiej w zwierciadle literatury jest kwestją żywą i ciekawą, z zajęciem słuchało feljetonu **Idy Wieniewskiej** ze Lwowa. Wygłosiła ona sporo wnikliwych uwag swoich i cudzych, zebranych w zgrabne ramy feljetonu.

W ostatnich „Wesołych Falach" na plan pierwszy wybijały się polityczne „szmoncesowe" djalogi, znakomicie napisane, pełne **satyry i ciętego dowcipu** i świetne parodje (prof. Rutkowskiego, Starego Doktora) czy też monologi Korabiowskiego. Co do tych ostatnich, to powtórzę swą uwagę z przed paru miesięcy, że należy je zawczasu dawkować tak, jak obecnie djalogi Szczepka i Tońka, które słyszymy raz na miesiąc. To co rzadkie, dłużej utrzymuje swą wysoką wartość i siłę atrakcyjną.

IRENA NAŁĘCZ